

BIBLIOTEKA Powszechna

Henryk Ibsen.



W dniu zmartwychwstania

Epilog dramatyczny w 3 aktach.

PRZEŁOŻYŁ

EDMUND RAYNER.



Każdy tomik można osobno nabyć.

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.



HENRYK IBSEN.



W DNIU

ZMARTWYCHWSTANIA

Epilog dramatyczny w 3 aktach.

PRZEŁOŻYŁ

EDMUND RAYNER.



Złoczów.

Nakładem i drukiem Wilhelma Zuckerkandla.



105856

OSOBY:

PROF. ARNOLD RUBEK, rzeźbiarz.
MAJA, jego żona.
ULFHEIM, właściciel dóbr ziemskich.
INSPEKTOR ZDROJOWY.
IRENA.
DYAKONISA.

Służba, goście kąpielowi i dzieci.

1-szy akt w kąpielach morskich; 2-gi i 3-ci w górach,
w pobliżu sanatorium.

AKT I.

Przed domem zdrojowym. Część głównej fasady widać po prawej stronie. Rozległe miejsce otwarte, w rodzaju parku, ocienione rozłożystymi drzewami; na okół zarośla, w środku wodotrysk. Na lewo pawilonik, ukryty prawie wśród zieleni i winogrodu. W głębi fiord z wysepkami, zlewający się w oddali z pełnym morzem. Cichy słoneczny dzień letni, przedpołudniem.

Profesor Rubek i żona jego Maja siedzą na krzesłach wyplatanych przy nakrytym stole na murawie przed domem zdrojowym — właśnie spożyli śniadanie. Teraz piją szampana z wodą selterską. Każde z nich trzyma gazetę w rękę. Profesor jest starszym, dystygowanym mężczyzną, w czarnej bluzie aksamitnej, zresztą w letnim ubraniu. Maja jest młodziutką kobietą w eleganckim stroju podróżnym — o żywym wyrazie twarzy i wesołym spojizieniu, w którym przebija się odcień znużenia.

Maja siedzi w milczeniu, jak gdyby oczekiwała, że profesor coś do niej przemówi. Wreszcie opuszcza gazetę na kolana i wzdycha. Tak, tak!...

Profesor Rubek przestaje czytać i spogląda na żonę. Cóż takiego, Majo?

Maja. Słuchaj, jak cicho!

Prof. Rubek z uśmiechem. I ty to słyszysz?

Maja. Co takiego?

K.109/80/117227

Prof. Rubek. Ciszę?

Maja. Zapewne... słyszę.

Prof. Rubek. Może masz i słuszość... Rzeczywiście można ciszę słyszeć.

Maja. Można niestety... zwłaszcza tutaj, gdzie cisza formalnie nas przygniata...

Prof. Rubek. Tu, w kąpielach?

Maja. Wszędzie tutaj, w stronach ojczystych. W mieście było dosyć zgiełku i gwaru... Mimo to — co do mnie, w zgiełku tym i gwarze tkwiło coś martwego.

Prof. Rubek patrzy na nią badawczym wzrokiem. A czy nie chciałabyś być już w domu?

Maja spogląda na niego. A ty?

Prof. Rubek wymijająco. Ja?

Maja. Tak, ty. Tak przecie długo przebywałeś zagranicą! Dłużej, aniżeli ja. Czy nie chciałabyś być już w domu?

Prof. Rubek. Prawdę powiedziawszy... wcale za domem nie tęsknię...

Maja z ożywieniem. Widzisz! Wiedziałam to z góry.

Prof. Rubek. Może i za długo bawiłem zagranicą. Odwykłem od wszystkiego... od stosunków w kraju naszym.

Maja przysuwa się z krzesłem bliżej do niego, żywo. Widzisz! A więc wyjedźmy stąd co prędzej!

Prof. Rubek trochę niecierpliwie. I owszem, moja kochana! Nie mam nic przeciw temu...

Maja. Ale dlaczego nie zaraz? Pomyśl! Jak miło i wygodnie byłoby nam... w naszym nowym okazałym domu...!

Prof. Rubek śmieje się swobodnie. Nie w domu — mów raczej o naszym ognisku domowym!

Maja stanowczo. Nie!... W domu! Niech już tak zostanie!

Prof. Rubek spogląda na nią uważnie. Dziwna z ciebie osóbką!

Maja. Dziwna, powiadasz?

Prof. Rubek. Nie inaczej!

Maja. Dlaczegoż to? Może dlatego, że nie mam ochoty czasu tu marnować?

Prof. Rubek. Powiedz, któżby chciał lato spędzać na północy?

Maja. No, ja!

Prof. Rubek. A ja nie!

Maja. Boże mój!... Któżby mógł przypuścić, że w tak krótkim czasie takie zmiany zajdą! Jeżeli pomyślę, że zaledwie cztery lub pięć lat temu, jak opuściłam te strony...

Prof. Rubek. Jako mężatka!

Maja. Mężatka? Cóż to ma za związek z mojem zamążpójściem?

Prof. Rubek ciągnie dalej. I odkąd zostałaś panią profesorową a zarazem kapłanką ogniska domowego... przepraszam, chciałem powiedzieć... zanim zamieszkałaś w okazałym domu!... A uroczą willa nad jeziorem Taunickiem, tak wytwornie urzą-

dzona! Może nawet za zbytkownie!... I jest się gdzie pomieścić! Nie potrzebujemy stąpać sobie po piętach...

Maja obojętnie. Rzeczywiście, miejsca jest dosyć.

Prof. Rubek. No... i weszłaś w lepsze towarzystwo... w porównaniu do twoich domowych stosunków...

Maja spogląda nań. A więc według twego zdania, ja się zmieniłam?

Prof. Rubek. Nie inaczej!

Maja. Ja tylko sama? A ludzie nie?

Prof. Rubek. Zapewne... i ludzie także — nieco. Ale nie na korzyść. Nie przeczę...

Maja. A, widzisz!

Prof. Rubek zmienia ton mowy. Czy wiesz, jakie wrażenie czyni na mnie życie otaczających mnie ludzi?

Maja. No?

Prof. Rubek. Przypomina mi się noc, kiedyśmy tu — do kąpiel — koleją jechali...

Maja. Przecież spałeś wtedy w wagonie!

Prof. Rubek. Nie zupełnie. Zauważyłem, jak nagle cisza zapanowała na tak wielu małych przystankach... Słyszaleś ciszę... jak ty powiadasz, Majo!

Maja. Jak ja...

Prof. Rubek. Dorozumiałem się, żeśmy minęli granicę. Rzeczywiście, byliśmy w naszym kraju...

Na tych wszystkich małych przystankach zatrzymywał się pociąg... chociaż nie było żadnego ruchu.

Maja. No, to dlaczego się zatrzymywał? Skofo nikogo nie było?

Prof. Rubek. Nie wiem. Żaden podróżny ani nie wsiadł, ani nie wysiadł. Ale mimo to pociąg zatrzymywał się nieskończenie długo... Na każdej stacji widziałem dwóch mężczyzn, którzy się na peronie przechadzali... Jeden z nich miał latarkę w ręku... mówili ze sobą bezdźwięcznym, przytłumionym głosem... o niczem... a słowa ich ulatywały w noc głuchą, bezludną.

Maja. Rzeczywiście. Zawsze kilku mężczyzn przechadza się i rozmawia ze sobą...

Prof. Rubek. O niczem z ożywieniem. Ale poczekaj, jutro...! Wsiądziemy na wielki wygodny parowiec, okrążymy wybrzeże, a potem coraz dalej na północ... aż do Oceanu lodowatego!

Maja. Ale w takim razie nie będziesz widział ani ładu, ani życia. A o to ci przecież chodziło!

Prof. Rubek krótko, z niechęcią. Widziałem aż nadto!

Maja. Wolisz zatem podróż morską?

Prof. Rubek. Dla odmiany.

Maja. Jeśli ci tylko posłuży...

Prof. Rubek. Mnie? Posłuży? Przecież nie mi nie jest!

Maja mierzy go wzrokiem i zbliża się do niego. A jednak... brak ci czegoś... nie wypieraj się!

Prof. Rubek. Ależ, moja kochana!.. Co takiego?

Maja stoi za nim, przechyla się naprzód poprzez krzesło. To musisz ty mi powiedzieć! Od niejakiego czasu jesteś czegoś niespokojny. Nigdzie dłużej pobyc nie możesz. Ani w domu ani poza domem. Stornisz od ludzi...

Prof. Rubek z odcieniem szyderstwa. Dziwna rzecz!.. Żeś ty to zauważyła!

Maja. Każdy to musiał zauważyć, kto cię zna. I przykro mi, że straciłeś całą chęć do pracy.

Prof. Rubek. Przywodziło ci się...

Maja. Dawniej pracowałeś niez mordowanie od rana do wieczora...

Prof. Rubek ponuro. Tak, dawniej...

Maja. Ale od czasu, gdy skończyłeś swoje arcydzieło...

Prof. Rubek potakuje w zamyśleniu. „Dzień zmartwychwstania...”

Maja. Które obiegło cały świat i tak cię wstawiło...

Prof. Rubek. To poniekąd nieszczęściem.

Maja, A to dlaczego?

Prof. Rubek. Gdym stworzył to moje arcydzieło stanowczym tonem — bo „Dzień zmartwychwstania“ jest arcydziełem — a właściwie był niem z początku. Nie! Jest niem jeszcze. A raczej jest tak zwanem arcydziełem!

Maja spogląda nań ze zdziwieniem. Ależ mój kochany, przecież cały świat wie o tem!

Prof. Rubek szorstko. Cały świat nie nie wie!

Maja. No, to może się czegoś domyśla...

Prof. Rubek. Czego weale niema... co mi nigdy w głowie nie powstało. Widzisz! I to ich wprawia w zachwyty! mruczy coś niewyraźnie. Szkoda trudu męczyć się i zużywać dla tłumu i pospólstwa... i dla „całego świata!“

Maja. Więc czyż według twego zdania jest odpowiedniejszym — a raczej godniejszym ciebie od czasu do czasu — tak od niechcenia — robić popiersia?

Prof. Rubek uśmiecha się wesoło. To właściwie nie są popiersia, które ja robię...

Maja. A czemuż są w takim razie? Od dwóch, czy trzech lat, kiedy skończyłeś tę wielką grupę i puścicie ją w świat daleki...

Prof. Rubek. Mówię ci, to nie są właściwie popiersia.

Maja. A więc co takiego?

Prof. Rubek. W popiersiach tych i poza niemi tkwi coś podejrzanego, coś ukrytego... coś tajemnego, czego ludzie dostrzedz nie mogą...

Maja. Hm!

Prof. Rubek z pewnością siebie. Tylko ja jeden mogę to widzieć. I to mi sprawia taką wewnętrzną przyjemność... Na zewnątrz przedstawiają one owo — jak to mówią — „uderzające podobieństwo“, przed którym ludzie stają w niemym zachwycie... przyciszonym głosem... ale w gruncie

rzeczy są to poczciwe głowy końskie i uporne fizygnomie osłe i nizko-czołe psie pyski i wypasione ryje świńskie... i bezmyślne, grube łby wole.

Maja obojętnie. A więc wszystkie nasze zwierzęta domowe!

Prof. Rubek. Rzeczywiście. Są to nasze poczciwe zwierzęta domowe, które człowiek spaczył na swój obraz i podobieństwo. I które na odwrót spaczyły człowieka wychyla kieliszek szampana i śmieje się. I te podstępne dzieła sztuki zamawiają u mnie ludzie stateczni i zamożni. I zakupują je w dobrej wierze — i po wysokich cenach... niejako na wagę złota.

Maja nalewa m. Wstydz się, Rubek! Któż widział tak mówić! Pij i rozchmurz czoło!

Prof. Rubek przesuwa kilkakrotnie ręką po czole i opiera się głębiej w krzesło. Jestem zadowolony, wierzaj mi! Przynajmniej pod pewnym względem mileży przez chwilę. Bo niewątpliwie jest szczęściem, czuć się wolnym i niezawisłym! Mieć wszystko, czego dusza zapagnie! Na zewnątrz! Czy nie tak, Majo?

Maja. Zapewne. To już dość wiele spogląda na niego. Ale czy pamiętasz jeszcze, coś mi przyobiegał w dniu, kiedy między nami przyszło do porozumienia co do... owej trudnej sprawy...

Prof. Rubek potakuje. Masz zapewne na myśli nasze małżeństwo? Wiem, trudno ci przychodziło się zdecydować...

Maja ciągnie dalej. I że wyjadę z tobą za granicę, gdzie stale zamieszkamy... i że będę opływała w dostatki... A czy wiesz, coś mi oprócz tego przyrzekł?

Prof. Rubek potrząsa głową. Nie wiem... nie pamiętam już... No, powiedz, com tobie także przyrzekł?

Maja spogląda na niego. Mnie także? Jak to, więc i komu innemu?

Prof. Rubek obojętnie. Nie, to tylko lapsus linguae... A więc cóż ci przyrzekłem?

Maja. Obiecałeś mi pokazać wszystkie piękności świata. I wszystkie te piękności, mówiłeś, miały do mnie i do ciebie należeć.

Prof. Rubek. To tylko tak sobie powiedziałem.

Maja. Tak sobie?

Prof. Rubek. Jeszcze za moich szkolnych czasów nauczyłem się tego zwrotu. Zawszem tak mawiał, gdym chciał zwabić dzieci od sąsiada, aby się poszły ze mną bawić w góry lub do lasu.

Maja mierzy go wzrokiem. Tak? Toś mnie chciał także zwabić, aby się zemną pobawić?

Prof. Rubek zartobliwie. Powiedz, możeś się źle bawiła?

Maja chłodno. Nie poszłam z tobą, aby się tyko bawić!

Prof. Rubek. Wierzę ci.

Maja. Aleś mnie nigdy nie wzięt z sobą na wysoką górę i nie pokazałeś mi...

Prof. Rubek z rozdrażnieniem. Wszystkich piękności świata? Rzeczywiście, nie pokazałem ci. Wyjawię ci przyczynę, dlaczego tego nie uczyniłem: tyś nie stworzona do wyżyn, moja mała Majo!

Maja stara się gniew opanować. Mnie się zdaje, że dawniej byłeś innego zdania!

Prof. Rubek. Może być... przed czterem lub pięciu laty wyciąga się na krzesło. Cztery, pięć lat — to długi okres czasu!

Maja spogląda na niego z goryczą. Czas ten ci się zapewne zbyt długim wydawał?

Prof. Rubek. Po części. Ziewa.

Maja wraca na swoje miejsce. Nie chcę cię mą rozmową nudzić. Siada na krzesło, bierze gazetę i przeżuca kątki.

Obopólne milczenie.

Prof. Rubek opiera się łokciami na stole, twarzą do niej zwrócony — mierzy ją wzrokiem, nieznacznie się uśmiechając. Pani profesorowa czuje się dotkniętą?

Maja oziębło, nie patrzy nań. Bynajmniej!

Goście kąpielowi — przeważnie panie — nadechodzą z prawej i lewej strony, pojedynczo lub grupami, przechadzając się po parku.

Kelnerzy przynoszą z domu zdrojowego napoje chłodzące i znikają następnie poza pawilonem.

Inspektor zdrojowy, z rękawiczkami i laską w rękę, wraca ze swej urzędowej przechadzki, kłania się uprzejmie przechodzącym gościom i zamienia z niektórymi po kilka słów.

Inspektor zbliża się do stołu profesora Rubeka, zdejmując uprzejmie kapelusz. Całuję rączki pani profesorowej!... Moje uszanowanie panu profesorowi!

Prof. Rubek. Dzień dobry panu!

Inspektor do Maji. Jakże państwo noc przespali? *Maja.* Dziękuję. Wybornie... co się mnie tyczy. Spią zawsze, jak kłoda.

Inspektor. Cieszy mnie niewymownie. Pierwsza noc w obcym miejscu ma zazwyczaj swoje niedogodności... A pan, panie profesorze?

Prof. Rubek. Nie najlepiej. Wogóle w ostatnich czasach nie zbyt dobrze sypiam.

Inspektor z współczuciem. Żałuję nieskończenie. Ale po kilku tygodniach pobytu... nie wątpię, że sen powróci.

Prof. Rubek spogląda nań. Panie inspektorze, czy macie tu pacyenta, który się kąpie w nocy?

Inspektor z zadziwieniem. W nocy? Nic mi o tem nie wiadomo.

Prof. Rubek. Z pewnością nie?

Inspektor. O ile mi wiadomo, to niema u nas tak chorego pacyenta, któryby tego potrzebował!

Prof. Rubek. No, to w takim razie któryś z gości przechadza się w nocy po parku?

Inspektor uśmiecha się z niedowierzaniem, potrząsając głową. Wątpię, to się sprzeciwia regulaminowi.

Maja z niecierpliwością. Mówiłam ci dziś rano... pewnie ci się przysniło... jakieś widziadło nocne!

Prof. Rubek oschle. Tak myślisz? Przysniło mi

się? Widziałto? do inspektora. Nie mogąc zasnąć, wstałem z łóżka, aby popatrzeć, jak tam na dworze.

Inspektor z zajęciem. No, i...?

Prof. Rubek. Wyglądam oknem i widzę jakąś jasną postać, przechadzającą się po parku...

Maja z uśmiechem do inspektora. Mąż mój twierdzi, że postać ta była w kostymie kąpielowym.

Prof. Rubek. Albo w podobnym stroju. Nie mogłem tego rozróżnić. W każdym razie ubiór był biały.

Inspektor. Dziwna rzecz! Czy był to mężczyzna, czy kobieta?

Prof. Rubek. Odniosłem wrażenie, że była to kobieta. W pewnym oddaleniu za nią przesunęła się druga postać. Była ona ciemno ubrana. Jak cień...

Inspektor z uwagą. Ciemno? Może czarno?

Prof. Rubek. Tak mi się zdaje.

Inspektor z tajnym uśmiechem. Za białą? Bezpośrednio za nią?

Prof. Rubek. W pewnym oddaleniu.

Inspektor. Zdaje mi się, że będę mógł panu profesorowi wyjaśnić to zjawisko.

Prof. Rubek. A więc cóż to było?

Maja równocześnie. Czyżby mąż mój rzeczywiście coś widział?

Inspektor nagle przycisza głos i wskazuje ręką na prawo w głębi. Pst! Proszę popatrzeć tam!... Nie mówmy teraz o tym temacie!

Z poza domu zdrojowego wychodzi wysmukła dama, w kremowej sukni kaszmirowej, w towarzystwie czarno ubranej dyakonisy, która na piersiach ma srebrny krzyżyk, zawieszony na łańcuszku; przechodzi ona przodem sceny przez park ku pawilonowi, na lewo. Twarz jej blada; rysy jakby unieruchomione; powieki spuszczone; oczy pozornie bez siły wzroku. Suknia powłoczysta obejmuje jej ciało, opadając w fałdach, wzdłuż biegnących. Głowę jej, kark, piersi, plecy i ramiona okrywa wielki, biały szal krepowy. Postawa nieruchoma. Krok sztywny, miarowy. Ruchy dyakonisy również jednostajne; czyni ona wrażenie osoby służebnej. Postępuje ona za damą, którą śledzi swymi brunatnymi, bystrymi oczyma, nie spuszczać jej ani na chwilę z oka. Kelnerzy, z serwetkami na ramieniu, pojawiają się we drzwiach domu zdrojowego, patrząc ciekawie za obiema nieznanymi. One zaś nie zwracają na nie uwagi i znikają w głębi pawilonu.

Prof. Rubek który bezwiednie podniósł się z wolna z krzesła, zapatrzył się nieruchomo na zamknięte drzwi pawilonu. Kto ta dama?

Inspektor. Cudzoziemka, która mieszka tu w pawilonie obok.

Prof. Rubek. Cudzoziemka, powiada pan?

Inspektor. W każdym razie przyjechała z zagranicy. Przed tygodniem. Dopiero po raz pierwszy bawią u nas.

Prof. Rubek spogląda na niego — tonem stanowczym. Tę a nie inną widziałem dziś w nocy w parku.

Inspektor. Być może. Zaraz mi ona na myśl przyszła.

Prof. Rubek. Panie inspektorze, jak się nazywa ta dama?

Inspektor. Zapisana jest w księgach jako pani de Satow z towarzyszką. Więcej nam nie wiadomo.

Prof. Rubek zamyśla się. Satow?... Satow?

Maja do męża. Czy znasz kogo, co się tak nazywa?

Prof. Rubek potrząsa głową. Nie przypominam sobie... Satow? Nazwisko rosyjskie... a w każdym razie słowiańskie. Do inspektora. A jakim mówi ona językiem?

Inspektor. Obie panie mówiąc ze sobą, używają nieznanego mi języka. Ona zaś sama mówi czysto po norwęgsku.

Prof. Rubek ze zdumieniem. Po norwęgsku? Może się pan myli?

Inspektor. Bynajmniej.

Prof. Rubek spogląda na niego z natężoną uwagą. Sam pan słyszałeś?

Inspektor. Tak jest, bo z nią kilka razy rozmawiałem — zaledwie kilka słów... jest mołomowną.

Prof. Rubek. Więc mówi po norwęgsku?

Inspektor. Biegle i poprawnie — akcentem, którym mówią w północnej Norwegii.

Prof. Rubek zapatrzony przed siebie. I to także!

Maja niemile dotknięta. Przypomnij sobie, może ci kiedy służyła za model?

Prof. Rubek utkwiał w niej wzrok przenikliwy. Za model?

Maja z wyzywającym uśmiechem. Za młodych lat. Podobno miałeś niezliczoną ilość modeli! W owych czasach zresztą, rzecz naturalna.

Prof. Rubek j. w. Mylisz się, moja mała Majo. Właściwie miałem jeden tylko model... jeden, jedyny do wszystkiego, co dotąd stworzyłem.

Inspektor który odwrócił się i spoglądał w dal na lewo. Państwo pozwolą, że ich pożegnam. Muszę się oddalić, gdyż nie chciałbym się spotkać z pewnym panem, który się ku nam zbliża. Rozmowa z nim nie jest zbyt przyjemną — zwłaszcza w obecności pań.

Prof. Rubek patrzy również na lewo. Pan zapewne masz na myśli myśliwego, który właśnie nadchodzi? Kto to taki?

Inspektor. To właściciel dóbr ziemskich Ulfheim...

Prof. Rubek. Ulfheim?

Inspektor. „Pogromca niedźwiedzi.“

Prof. Rubek. Znam go.

Inspektor. Któżby go nie znał?

Prof. Rubek. Zresztą tylko pobieżnie. Czy stał się on... wreszcie... także pańskim pacyentem?

Inspektor. Dziwię się doprawdy... dotąd nie. Tylko raz do roku zawita do nas... gdy wybiera się na łowy w góry. Oddala się w kierunku domu zdrojowego.

Głos Ulfheima za sceną. Czekaj pan! Do wszystkich...! Gdzie pan uciekasz? Przecie pana nie zjem!

Inspektor zatrzymuje się. Wcale nie uciekam, panie dziedziu!

Właściciel dóbr ziemskich Ulfheim nadchodzi z lewej strony w towarzystwie służącego, który prowadzi całą



sforę psów gończych. Ulfheim w ubraniu myśliwskim, w butach i kapeluszu piłśniowym z piórkiem. Chudy, wysoki, żyłasty, z czupryną i brodą zwichrzoną, głos donośny, z wejrzenia wieku, nie dającego się bliżej określić, w każdym razie już nie młody.

Ulfheim gniewnie do inspektora. Któż widział tak przed ludźmi uciekać! Piękny zwyczaj! Niema co mówić! Zmykasz pan, jak pies ze spuszczoneym ogonem... jak gdyby bies pana opętał!

Inspektor pomija milczeniem przemowę Ulfheima, ze spokojem. Pan dziedzic przyjechał parowcem?

Ulfheim pomrukując. Na oczy żadnego parowca nie widziałem. Trzyma się popod boki. Nie wie to pan, że ja jeżdżę własną łodzią! do służącego. Pamiętaj o swoich współtostach, Larsie! Ale uważaj, żeby mimo to były głodne. Świeże kości, prawie bez mięsa! Rozumiesz? Ma ono być surowe, krwiste, jeszcze nie ostygłe! A i ty nie zapomnij o swoim miechu! zbliża się nieco do niego. No, a teraz idź do dyabła!

Inspektor. Może pan dziedzic pozwoli do restauracyi?

Ulfheim. Co, do tych pół-żywych much i ludzi? Dziękuję urzelenie, panie inspektorze.

Inspektor. Pozostawiam to do woli pańskiej.

Ulfheim. Ale każ pan kucharce, aby dla mnie przygotowała sporo żywności, jak zwykle. Wszystkiego podostatkiem! Żeby było co na ząb wziąć! A przedewszystkiem wódki! Powiedz jej pan...

niech o wszystkim pamięta... bo inaczej będzie z nią krucho!

Inspektor przerywa mu. Wszystko będzie, jak należy odwraca się odeń. Może pan profesor czego potrzebuje?... Zawołam kelnera... A może pani dobrodzijka?

Prof. Rubek. Dziękuję panu.

Maja. Ja również.

Inspektor odchodzi ku domowi zdrojowemu.

Ulfheim przygląda się przez chwilę Rubekom, następnie uchyla kapelusza. Do kroćset kóp rogaczy! Jak widzę zabłąkał się tu prostak wiejski w towarzystwo dystyngowane!

Prof. Rubek spogląda nań. Co pan chciał przez to powiedzieć?

Ulfheim przybiera ton bardziej uprzejmy. Jeśli się nie mylę, to mam zaszczyt widzieć przed sobą pana profesora Rubeka we własnej osobie?

Prof. Rubek przytakuje. Miałem kilkakrotnie sposobność spotkać pana w towarzystwie... A ostatniej jesieni tu w górach.

Ulfheim. Tak, znamy się już od dawna. Jeszcze w t e d y nie byłeś pan tak sławny, jak dzisiaj. Bo w ó w c z a s łatwo było mieć przystęp do pana... nawet ja, rubaszny pogromca niedźwiedzi...

Prof. Rubek z uśmiechem. Niema nic niebezpiecznego! Przecież nie gryzę!

Maja przypatruje się z zajęciem Ulfheimowi. Pan naprawdę jesteś pogromcą niedźwiedzi?

Ulfheim siada przy sąsiednim stoliku, wysuniętym nieco bliżej ku domowi zdrojowemu. Najchętniej poluje na niedźwiedzie. Ale nie pogardzam i inną zwierzyną. Zmiatam wszystko, co mi się tylko pod strzał nawinie! Czy to orły, czy wilki, czy kobiecy, czy łosie, czy reny! Ale muszą być świeże, pełne siły i życia! popija ze swej flaszki myśliwskiej.

Maja nie spuszcza zeń oczu. Ale najchętniej polujesz pan na niedźwiedzie?

Ulfheim. Tak jest... Niedźwiedź, to mój zwierzę ulubiony! Nieraz w matni można się z nim pobawić nożem! uśmiecha się nieznacznie. My obaj mamy do czynienia z twardym materiałem... tj. ja i mąż pani dobrodziejki. Natrudzi się on dosyć z niespożytych marmurem... a ja namęczę się dość z niesłychanie silnymi łapami niedźwiedziemi... A mimo to obaj pokonujemy materiał... z trudnością wprawdzie, ale wreszcie po długich wysiłkach odnosimy zwycięstwo

Prof. Rubek w zamyśleniu. Masz pan poniekąd słuszność.

Ulfheim. Kamień ma swoje słuszne powody, dla których się tak uporczywie opiera... Jest on martwy i nieruchomy... i dobrze mu w tym stanie — dlatego wszelkimi siłami broni się przed dłutem rzeźbiarza, które ma wlać weń życie... Podobnie i niedźwiedź, gdy go kto zaskoczy w jego legowisku.

Maja. Wybiera się pan znowu w góry na łowy?

Ulfheim. Nie się rozumieć. Na najwyższe stoki gór!... Pani dobrodziejka zapewne nie była dotąd w górach?

Maja. Nie miałam dotąd sposobności.

Ulfheim. Do wszystkich rogaczy! To niech pani skorzysta teraz ze sposobności i wraz zenną wybierze się w góry... ma się rozumieć — z mężem. To się rzeczywiście składa doskonale!

Maja. Dziękuję za zaproszenie... nie będę mogła z niego korzystać, bo mąż mój wybiera się w podróż morską...

Prof. Rubek. W podróż wzdłuż wybrzeży... wśród skjär.

Ulfheim. Daj mi pan pokój! Wielka mi przyjemność kotłować się na cuchnących falach nadbrzeżnych! Toż to nie woda morska, ale podejrzaną treść odpywy wody rzecznej!

Maja. Słyszysz?

Ulfheim. Porzuć pan tę nieszczęsną myśl i dalejże zenną w góry i lasy! Tam atmosfera, nie zanieczyszczona obecnością ludzi! Nie możesz pan sobie wyobrazić, co to ma dla mnie za urok! zwraca się do Maji. Naturalnie, taka mała osótkka... trzyma nagle. — Dyakonisa wychodzi z pawillonu i idzie ku domowi zdrojowemu.

Ulfheim odprowadza ją wzrokiem. Oto ptak czarny!... Kogoś śmierć czeka!

Prof. Rubek. Nie daj Boże!

Ulfheim. Ktoś pewnie leży w kacie i dogorywa.

Ci chorzy i nieuleczalni powinni jak najrychlej przenieść się do wieczności... Im wcześniej, tem lepiej!

Maja. Pan zapewne nigdy nie chorował?

Ulfheim. Nigdy. Inaczej nie stałbym tu przed państwem... Ale moi najlepsi przyjaciele często chorowali... biedaki!

Maja. I cóż pan z nimi zrobił?

Ulfheim. Zastrzeliłem ich... ma się rozumieć.

Prof. Rubek spogląda nań. Zastrzeliłeś pan?

Maja odsuwa się nieco ze swoim krzesłem. Na śmierć?

Ulfheim porusza głową. Nie poduję nigdy, pani dobrodziejko.

Maja. Ale jak pan masz sumienie strzelać do ludzi?

Ulfheim. Przecież ja nie o ludziach mówię!

Maja. Mówiłeś pan przecie o pańskich najlepszych przyjaciółtach!

Ulfheim. Tak jest, bo moimi najlepszymi przyjaciółmi są psy.

Maja. Co?! Psy?!

Ulfheim. Nie inaczej. Bo trudno o lepszych przyjaciół nad moich pocziwych, przywiązanych, wiernych towarzyszy polowania... Jeśli który z nich zachoruje, to... pań!... i już go niema... skończyły się jego cierpienia!

Dyakonisa wynosi z domu zdrojowego mleko i chleb na tacy, którą stawia na stole przed pawilonem, poczem znika w głąbi zabudowania.

Ulfheim pogardliwie. To ma być pożywienie dla ludzi! Wodniste mleko i kluskowaty chleb! po chwili. Gdybyście państwo widzieli, jak moi przyjaciele zajadają! Prawdziwa rozkosz! Chce pani dobrodziejka widzieć?

Maja patrzy się na męża pytającym wzrokiem i wstaje z krzesła. I owszem.

Ulfheim podnosi się również. Rzeczywiście, z pani dobrodziejki fertyczna osóбка! A więc proszę za mną!... Moje wisusy w jednej chwili połykają kość największą. Potem ją zwracają i ponownie połykają. Śliczny widok!... Zresztą pomówimy jeszcze o naszej wycieczce w góry... odchodzi i znika poza węgiem domu zdrojowego. *Maja* idzie za nim. Prawie równocześnie wychodzi nieznanjoma z pawilonu i siada u stolika.

Nieznajoma podnosi szklankę ku ustom — ale zatrzymuje się i spogląda na *Rubeka* wzrokiem szklanym, bez wyrazu.

Prof. Rubek nie opuszcza swego miejsca, mierząc ją przez dłuższy czas badawczym wzrokiem. Wreszcie wstaje i postępuje kilka kroków ku niej, poczem przystaje i odzywa się zeicha. Poznaję cię, *Ireno!*

Nieznajoma stawia szklankę na stole i mówi głosem bezdźwięcznym. Poznajesz mnie, *Arnoldzie?*

Prof. Rubek wymijająco. Tyś mnie też poznała!

Nieznajoma. Ty, co innego!

Prof. Rubek. Dlaczego ja, co innego?

Nieznajoma. Boś jeszcze przy życiu...

Prof. Rubek nie rozumie jej. Przy życiu?
Nieznajoma prawie równocześnie. Któż była ta druga?... Co z tobą siedziała przy stole?

Prof. Rubek zwleka nieco. To... moja żona.
Nieznajoma potrząsa głową. Tak... ta druga nie mnie nie obchodzi...

Prof. Rubek niepewnym głosem. Zapewne...
Nieznajoma. Ożeniesz się dopiero po mojej śmierci...

Prof. Rubek patrzy na nią wzrokiem osłupiałym. Po twojej...? Co chciałaś przez to powiedzieć, Ireno?

Irena wymijająco. A dziecko? Jakże się miewa? Nasze dziecko? Ono mnie przeżyło... w blasku i sławie!

Prof. Rubek uśmiecha się, pogrążony we wspomnieniach przeszłości. Tak... nasze dziecko... tak je dawniej nazywaliśmy...

Irena. Tak... kiedyś jeszcze żyła!

Prof. Rubek stara się przybrać ton wesołszy. Tak, tak. Teraz „dziecko nasze“ sławne na cały świat... Zapewne czytałaś o tem...?

Irena potakuje. I wstawiło także swego ojca... To było twojem marzeniem!

Prof. Rubek z cicha ze wzruszeniem. Tobie to wszystko zawdzięczam... tobie jedynie, Ireno! Dzięki ci!

Irena w zamyśleniu. Gdybym wtedy była skorzystała z mojego prawa... które mi niewątpliwie służyło, Arnoldzie?...

Prof. Rubek. To co byś była zrobiła?

Irena. To byłabym dziecko zabiła!

Prof. Rubek. Zabiła?!

Irena szeptem. Zabiła... nim od ciebie odeszłam. Roztrzaskała... starła na proch!

Prof. Rubek potrząsa z wyrzutem głową. Tego byś nie była zrobiła, Ireno!... Nie byłabyś się nigdy na taki krok zdobyła!... Nie miałabyś serca!

Irena. Rzeczywiście, wtedy...

Prof. Rubek. A później?

Irena. Później nieraz je zabijałam. W jasny dzień i w noc ciemną.. Zabijałam z nienawiści... z zemsty... w niewymownej męczarni...

Prof. Rubek przystępuje do jej stołu i pyta z cicha. Ireno... powiedz mi nareszcie... po tylu latach... dlaczego mnie wtedy opuściłaś... tak że cię nigdzie odszukać nie mogłem...?

Irena potrząsa z wolna głową. Arnoldzie... pocóż o tem mówić... skoro już nie mnie nie wiąże z tym światem...

Prof. Rubek. Może pokochałaś innego?

Irena. Tylko jednego kochałam w mem życiu... a on pogardził moją miłością... nie potrzebował już mego życia...

Prof. Rubek zmienia ton mowy. Pocóż odgrzebywać ruiny przeszłości...!

Irena. Zapewne... dajmy temu pokój! Dla mnie są to rzeczy z tamtego świata...

Prof. Rubek. Gdzieś była, Ireno?... Szukałem cię wszędzie... nie mogłem cię odszukać... jak gdybyś się w ziemię zapadła...

Irena. Przebywałam w ciemnościach... podczas gdy dziecko opromienione było blaskiem sławy...

Prof. Rubek. Podróżowałaś wiele?

Irena. Błąkałam się po całym świecie.

Prof. Rubek spogląda na nią z współczuciem. Cóż porabiałaś przez tak długi czas?

Irena zwraca na niego oczy. Poczekaj! Niech sobie przypomnę!... Tak, wiem już. Występowałam w teatrzykach i w innych lokalach publicznych... brałam udział w żywych obrazach jako nagi posąg... Wiele pieniędzy w ten sposób zarobiłam. Nie tak, jak u ciebie!... Tyś nie miał pieniędzy!... Zawięzałam znajomości z wielu mężczyznami, którzy u stóp mych leżeli... Tyś był zupełnie inny... powściągliwy i wstrzemięźliwy.

Prof. Rubek szybko. Później wyszłaś za mąż?

Irena. Tak... za jednego z nich.

Prof. Rubek. Czem twój mąż?

Irena. Pochodził z Ameryki południowej. Wybitny mąż stanu... patrzy przed siebie w próżnię z obumartym uśmiechem na ustach. Doprowadziłam go do szaleństwa... Sprawiało mi to z początku rozrywkę... wstrząsały mną wybuchy śmiechu... paroksyzmy wesołości... ale wewnątrz była we mnie próżnia.

Prof. Rubek. A gdzie on teraz?

Irena. Zapewne gdzieś na cmentarzu... pod drogocennym wyniosłym pomnikiem... z kulą ołowianą w czaszce...

Prof. Rubek. Popełnił samobójstwo?

Irena. Uprowadził mnie.

Prof. Rubek. Śmierć jego żalobą cię okryła? Irena bezmyślnie. Czyja?

Prof. Rubek. Czyjażby? Pana Satowa.

Irena. Nie nazywał się Satow.

Prof. Rubek. Jak to nie?

Irena. Mój drugi mąż nazywał się Satów. Jest Rosyaninem...

Prof. Rubek. A gdzie przebywa?

Irena. Daleko stąd, w Uralu, w swych kopalniach złota.

Prof. Rubek. A więc żyje?

Irena wzrusza ramionami. Żyje? Żyje? Właściwie ja go zabiłam.

Prof. Rubek wzdryga się. Zabiłaś?!

Irena. Moim małym ostrym sztyletem, który zawsze miałam przy sobie w łóżku.

Prof. Rubek namiętnie. Nie wierzę ci, Ireno!

Irena z łagodnym uśmiechem. Możesz mi wierzyć, Arnoldzie!

Prof. Rubek patrzy na nią ze współczuciem. Miałaś dzieci?

Irena. Nawet wiele.

Prof. Rubek. A gdzie one?

Irena. Zabiłam je.

Prof. Rubek surowo. Znowu kłamiesz.

Irena. Zabiłam je... wierzaj... nawet z rozkoszą zglądziłam je... skoro tylko na świat przyszły... a właściwie jeszcze wcześniej, o wiele wcześniej!... Jedno po drugim!

Prof. Rubek ze smutkiem. W słowach twoich tkwi ukryte znaczenie.

Irena. Każde słowo szepeze mi ktoś do ucha.

Prof. Rubek. Zdaje się, jestem jedynym, który się domyśla właściwego znaczenia.

Irena. Być może.

Prof. Rubek opiera się obiema rękami o stół i patrzy jej głęboko w oczy. Struny się w tobie zerwały, Ireno!

Irena miękko. Zawsze tak bywa, gdy umiera kobieta namiętłego usposobienia.

Prof. Rubek. Ależ Ireno, wyswobodź się wreszcie z tych mgłnych iluzji!... Wszak żyjesz! Jesteś żywą!

Irena podnosi się z wolna, drżącym głosem. Byłam umarłą... przez całe lata. Przyszli i związali mnie! Skrępowali mi ramiona na plecach... a potem spuścili do grobu. Był on toczony zewsząd żelaznymi prętami, a ściany wyściełone, tak iż nikt na powierzchni ziemi nie mógł słyszeć wołania żywcem pogrzebanej! Teraz jednak z krainy zmarłych powracam zwolna do życia siada znowu.

Prof. Rubek po chwili. Czy mnie przypisujesz winę?

Irena. Tak jest.

Prof. Rubek. Winę tego... co ty nazywasz swą śmiercią?

Irena. Tyś winien, że musiałam umrzeć przybiera ton obojętny. Dlaczego nie siadasz, Arnoldzie?

Prof. Rubek. Pozwalasz?

Irena. Proszę... nie bój się... nie zmarzniesz! Bo zupełnie jeszcze nie zlodowaciałam.

Prof. Rubek przysuwa krzesło do stołu i siada. Teraz siedzimy razem, jak za dawnych czasów.

Irena. I w pewnym oddaleniu od siebie... też jak za dawnych czasów.

Prof. Rubek przysuwa się bliżej. Musiało tak wtedy być?

Irena. Musiało?

Prof. Rubek tonem stanowczym. Tak jest, musielismy pozostać w pewnym oddaleniu od siebie!

Irena. Tak myślisz, Arnoldzie?

Prof. Rubek ciągnie dalej. Czy pamiętasz jeszcze, jaką mi dałaś odpowiedź na pytanie, czy chcesz pójść zemną w obczyznę?

Irena. Podniosłam trzy palce w górę i ślubałam, że pójdę z tobą choćby na koniec świata... przez całe życie! I służyć ci będę zawsze i wszędzie.

Prof. Rubek. Jako model do mojej rzeźby...

Irena. W zupełnej, nieosłoniętej nagości...

Prof. Rubek. A jak mi służyłaś, Ireno!... jak chętnie, odważnie i bez zastrzeżeń!

Irena. Służyłam ci z zapalem młodości — całą moją istotą!...

Prof. Rubek potakuje, obejmując ją spojrzeniem, pełnem wdzięczności. Przyznają to...

Irena. Leżałam u twych stóp i służyłam ci, Arnoldzie! zaciska pięść. Ale ty... ty!...

Prof. Rubek tonem usprawiedliwienia. Przecie nigdy niczem nie zgrzeszyłem przeciw tobie! Nigdy, Ireno!

Irena. Niestety, tak! Zraniłeś dotkliwie mą duszę... mą dumę kobiecą!

Prof. Rubek odsuwa swe krzesło. Ja?...

Irena. Tak, ty! Odkryłam przed tobą moje wdzięki... o ile to tylko możebne... z cicha. A tyś mnie nigdy nie dotknął!

Prof. Rubek. Nie uwierzysz, Ireno, ile razy odchodziłem prawie od zmysłów pod wpływem twej oślniewającej piękności!

Irena ciągnie dalej, nie zważając na jego słowa. A mimo to — gdybyś mnie był dotknął, byłabym cię natychmiast zabiła!... Miałam zawsze przy sobie ostrą szpilkę, ukrytą we włosach przesuwa w zamysleniu ręką po czole. Ale żeś mógł przenieść na sobie!...

Prof. Rubek patrzy na nią ze spokojem. Ireno, byłem artystą!

Irena. Właśnie dlatego.

Prof. Rubek. Przedewszystkiem artystą! Cho-dziłem, jak chory, chcąc dokonać wielkiego dzieła mojego życia! pogrąża się we wspomnieniach. Miało się nazywać „Dniem zmartwychwstania“. A zmartwychwstanie miało być uosobione w postaci młodej kobiety, która się budzi ze snu wiecznego...

Irena. To... nasze dziecko!

Prof. Rubek ciągnie dalej. Miała ona być naj-szlachetniejszą, najczystszejszą, najidealniejszą ko-bietą na świecie... ona, budząca się... Wtedy cie-bie znalazłem... miałas wszystkie warunki... A tyś tak chętnie się zgodziła!... Porzuciłaś dom i rodzinę... a poszłaś za mną!

Irena. Postąpienie to było zmartwychwstaniem mojego dzieciństwa.

Prof. Rubek. Właśnie dlatego tyś do moich celów się nadawała, jak żadna inna! Byłaś dla mnie świętą, nietykalną dziełem wszechstworzenia, które można było tylko w myślach ubóstwiać. Ireno, byłem wtedy jeszcze młodym! Ale wierzyłem w zabobon, że z chwilą, kiedy bym się ciebie dotknął... kiedybym pożądał cię zmysło-wo, plany moje straciłyby cechę świętości... i nie mógłbym dokończyć dzieła, które się stało celem mego życia... Jeszcze dziś wierzę, żeś się nie myliła!...

Irena potrząsa głową z odcieniem szyderstwa. Naj-pierw dzieło sztuki — potem człowiek!

Prof. Rubek. Możesz o tem myśleć, co ci się podoba. Myśl moja zaprzątnięta była jedynie mo-jem wzniosłym zadaniem — o czem innym nie myślałem. Serce moje przepeśniało błogie uczucie szczęścia.

Irena. I spełniłeś swe zadanie, Arnoldzie?

Prof. Rubek. Przy twojej pomocy, błogosta-

wiona... spełniłem je. Czysta kobieta miała wyjść z pod mojej ręki twórczej, tak jak sobie ją wyobrażałem przy obudzeniu się w dniu zmartwychwstania... By się nie dziwiła niczemu nowemu albo nieznanemu, albo nieodgadnionemu. Ale ze świętą radością, że pozostała bez wszelkiej zmiany... ona, kobieta ziemską... w wyższych, swobodniejszych, weselszych przestworzach... po długim śmiertelnym śnie bez marzeń! Przyciszonym głosem. Tak dzieło moje stworzyłem... Na wzór i podobieństwo twoje stworzyłem je, Ireno.

Irena kładzie ręce płasko na stole i opiera się głębiej w krzesło. I wtedy się zemną załatwiłeś...

Prof. Rubek z wyrzutem. Ireno!

Irena. Nie potrzebowałeś mnie więcej...

Prof. Rubek. Jak możesz tak mówić!

Irena. I począłeś zwolna szukać innych ideałów, aby...

Prof. Rubek. Nie znalazłem żadnego... żadnego po tobie!

Irena. I żadnych innych modeli, Arnoldzie?

Prof. Rubek. Tyś nie była dla mnie modelem. Tyś była źródłem mojej twórczości!

Irena milczy przez chwilę. Cóż potem tworzyłeś? Naturalnie, w marmurze... gdy od ciebie odeszłam?

Prof. Rubek. Nic więcej... same drobnostki...

Irena. A kobieta, z którą teraz żyjesz?...

Prof. Rubek. Proszę cię, nie wspominaj mi o niej! To mi humor psuje.

Irena. Dokąd zamierzasz z nią odjechać?

Prof. Rubek ocieęzale. Zdaje się, wybiorę się w podróż morską na północ...

Irena spogląda nań z nieznacznym uśmiechem i szepcze. Jedź raczej w góry! Na same szczyty... wyżej jeszcze, jak najwyżej!

Prof. Rubek w natężonym oczekiwaniu. Poszłabyś w góry?

Irena. Miałbyś odwagę, być znowu razem zemną?

Prof. Rubek z wahaniem, walczy z sobą. Gdyby to było możliwem!...

Irena. Jeżeli zechcemy, będzie możliwem. Spogląda na niego, składa ręce i szepcze tonem proszącym. Zechciej, Arnoldzie! Chodź do mnie, w góry!... Maja uśmiechnięta, z płonąca twarzą, nadchodzi i biegnie ku stołowi, gdzie poprzód siedziała.

Maja woła z daleka. Możesz mówić, co chcesz... zatrzymuje się nagle, spostrzegając Irenę. Przepraszam najmocniej!... Zapoznałeś się, jak widzę.

Prof. Rubek krótko. Odnowiłem tylko znajomość spogląda na nią. Czego chcesz odemnie?

Maja. To tylko chciałam ci powiedzieć, że ja tym nieznośnym parowcem wcale nie pojedę... Jeśli chcesz, to jedź sam!

Prof. Rubek. Dlaczego nie chcesz?

Maja. Bo ja chcę się wybrać w góry... w lasy! Chcę koniecznie!... pieszczotliwie. Musisz mi pozwolić! Zobacysz, będę taka dobra, uprzejma!...

Prof. Rubek. Któż cię do tego namówił?

Maja. Ten straszliwy pogromca niedźwiedzi. Nie masz wyobrażenia, co za dziwne rzeczy opowiada on o górach... o polowaniu... Wiele mi napłócił rzeczy strasznych i nieprawdopodobnych. Zdaje mi się, że nie wiele w tem prawdy. A mimo to ma to wszystko dla mnie dziwny powab!... Wiesz, Rubek, pójdę w jego towarzystwie w góry... choćby tylko po to, aby się przekonać, czy to wszystko prawda. Pozwolisz mi, Rubek?

Prof. Rubek. Jeśli sobie tego życzysz... Idź w góry, jak tylko chcesz wysoko i na jak długo chcesz. Może i ja pójdę za twoim przykładem.

Maja szybko. Nie, nie!... To zbyt cenne! Jeśli to ma być tylko z powodu mojej osoby!

Prof. Rubek. Ja również pójdę w góry. Zmienię plan pierwotny.

Maja. Dzięki ci zato! Mogę to zaraz powiedzieć pogromcy niedźwiedzi?

Prof. Rubek. Nie mam nic przeciw temu.

Maja. Serdeczne dzięki. Chce pochwycić jego rękę. Rubek jednak cofa ją. Jakiś ty dziś dobry! Odbiega w kierunku domu zdrowego.

Równocześnie otwierają się nieznacznie i bez szmeru drzwi pawilonu. Dyakonisa wygląda z poza drzwi uchylonych i wodzi dokoła śledzącym okiem — niespostrzeżona przez nikogo.

Prof. Rubek stanowczym tonem do Ireny. A więc spotkamy się w górach?

Irena podnosi się z wolna z krzesła. Z wszelką pewnością... Tak cię przecie długo szukałam...

Prof. Rubek. Od jak dawna mnie szukasz?

Irena z goryczą. Odkąd przyszłam do przekonania, że ci dałam coś, co się już nigdy nie da wynagrodzić... Dobro, którego nikt nie powinien się pozbywać.

Prof. Rubek opuszcza głowę na piersi. Bolesna prawda! Poświęciłaś mi trzy lub cztery lata swej młodości!

Irena. Więcej, o wiele więcej ponadto!.. Byłam zbyt rozrzutna!

Prof. Rubek. Rzeczywiście. Byłaś rozrzutną. Ireno. Dałaś mi całą swą nagą piękność...

Irena. Do oglądania...

Prof. Rubek. I do uświetnienia.

Irena. Tak. Do uświetnienia twojej osoby... i dziecka!

Prof. Rubek. Także i do twojego uświetnienia, Ireno.

Irena. Zapomniałeś jeszcze o moim najcenniejszym darze!

Prof. Rubek. Najcenniejszym?...

Irena. Dałam ci moją młodą żywą duszę... stałam przed tobą z próżną piersią — bez duszy! Patrzy nań z nieruchomem okiem. To było powodem mojej śmierci, Arnoldzie.

Dyakonisa otwiera drzwi na oścież, usuwa się i przepuszcza Irenę, która wchodzi do pawilonu.

Prof. Rubek spogląda za nią z przerażeniem, poczem szepta. Ireno!

Koniec aktu pierwszego.

AKT II.

Okolica górzysta w pobliżu sanatorium. Wzdłuż wyniosłego pasma gór ciągnie się niezmiernie bezdrzewna płaszczyna, która kończy się jeziorem. Po drugiej stronie wody wznosi się cały szereg szczytów. Kotliny górskie pokryte są śniegiem, który wpada w odcień błękitnawy. Z przodu po lewej stronie sący się w dwóch odnogach strumień po stromej ścianie skalistej i płynie dalej równiną na prawo. Zarośla, rośliny i kamienie wzdłuż brzegów strumienia. Z przodu po prawej stronie wzgórze, na którego szczycie znajduje się ława kamienna.

Dzień letni tuż przed zachodem słońca.

W niejakiem oddaleniu po drugiej stronie strumienia bawi się na równinie grono dzieci wśród płasów i śpiewów. Dzieci ubrane po części po miejsku, po części po wiejsku.

Wesoły śmiech rozlega się w oddali.

Prof. Rubek siedzi na ławie, pokryty płedem i przypatrzuje się zabawie dzieci.

Wkrótce potem wychodzi *Maja* z poza zarośli, idzie płaszczyną z lewej strony i ogląda się dokoła, przystaniając sobie oczy ręką. Na głowie płaska czapka, jaką turyści zwykle noszą; suknia krótka, podgięta, odstaniająca do połowy łydki; buciki sznurowane — w rękę długi kij alpejski.

Maja zauważa wreszcie *Rubeka* i woła. Hop-hop! Przeskakuje strumień przy pomocy kija i wychodzi na

wzgórze. Tylem się nachodziła! Nigdzie cię odszukać nie mogła!

Prof. Rubek potrząsa głową obojętnie. Przychodzisz ze sanatorium?

Maja. Tak.

Prof. Rubek rzuca na nią przelotne spojrzenie. Nie było cię przy stole.

Maja. Jedliśmy obiad pod gołym niebem — my obydwójce.

Prof. Rubek. My obydwójce? Któż to taki?

Maja. Któżby inny? Ja i pogromca-niedźwiedzi.

Prof. Rubek. A, tak...

Maja. Jutro wybieramy się w góry.

Prof. Rubek. Polowanie na niedźwiedzia?

Maja. Tak jest. Misiom będziemy skórę garbować.

Prof. Rubek. Czy jesteście już na tropie?

Maja z pewnością siebie. Przecież tu niema niedźwiedzi na nagim grzbiecie gór!

Prof. Rubek. A gdzie?

Maja. Daleko stąd... gdzie największy gąszcz leśny... Zwykle mieszczuchy dotrzeć tam nie mogą.

Prof. Rubek. A więc jutro wybieracie się w drogę?

Maja rzuca się na wrzosy. Może nawet jeszcze dziś wieczór... Zgadzasz się przecie?

Prof. Rubek. Ale i ewszem.

Maja szybko. Lars nam będzie towarzyszył ze sforą psów.

Prof. Rubek. Co mi tam Lars i sfera psów! Po chwili. Usiądź lepiej tu obok mnie na ławce!

Maja ze znużeniem. Nie, dziękuję. Tak mi dobrze na miękkiej murawie!

Prof. Rubek. Jesteś zmęczona?

Maja oddycha głęboko. Zaczynam dopiero teraz odczuwać znużenie.

Prof. Rubek. Skutki się dopiero później objawiają — gdy minie wyteżenie.

Maja głosem ospałym. Tak, tak... Zdrzemnę się na chwilkę.

Krótką pauza.

Maja nagle z niecierpliwością. Wiesz, Rubek, nie pojmuję cię, jak możesz słuchać tych ustawicznych krzyków dzieci... i przypatrywać się ich podskokom!

Prof. Rubek. Głosy ich sprawiają się w pewnych chwilach wrażenie muzyki... ruchy ich zlewają się w harmonijną całość... chociaż są niezgrabne... i właśnie obserwowanie tych chwil sprawia mi przyjemność.

Maja uśmiecha się pogardliwie. Rozumie się... Jesteś artystą zawsze i wszędzie.

Prof. Rubek. I chcę nim nadal zostać.

Maja odwraca się na bok, tak że jest do niego tyłem odwrócona. On nie ma w sobie ani źdźbła artystycznej natury!

Prof. Rubek z uwagą. Kto nie ma natury artystycznej?

Maja znowu głosem ospałym. No... tamten.

Prof. Rubek. Co za tamten? Pogromca nie-dźwiedzi?

Maja. Ma się rozumieć. On... i artysta!

Prof. Rubek z uśmiechem. Masz słuszność.

Maja gwałtownie, nie ruszając się z miejsca. A jaki brzydki! Wrywa kępkę wrzosu i odrzuca ją daleko. Brzydki, szkaradny! Och!

Prof. Rubek. A mimo to chętnie z nim polujesz — błędzisz po lasach i górach?

Maja krótko. Czyż wiem? Do Rubeka. Ale i ty jesteś brzydki!

Prof. Rubek. Teraz to dopiero zauważyłaś?

Maja. Nie, o tem wiem już oddawna.

Prof. Rubek wzrusza ramionami. Człowiek się starzeje, moja kochana, starzeje...

Maja. Nie to miałam na myśli. Ale od niejakiego czasu w spojrzeniu twojem widać znużenie... jakąś rezygnację... Nawet nie raczysz rzucić na mnie okiem...

Prof. Rubek. Zauważyłaś to?

Maja potakuje. Oczywiście są jakieś dziwne... Mam takie wrażenie, jak gdybyś coś kłut prze-ciwko mnie...

Prof. Rubek. Tak? Uprzejmie, ale z powagą. Chodź, Majo, i usiądź przy mnie! Pogawędzimy nieco ze sobą....

Maja podnosząc się do połowy. Czy mogę usiąść ci na kolanach... jak w pierwszych latach naszego pożycia?

Prof. Rubek. To nie uchodzi. Mógłby nas kto widzieć! Przysuwa się nieco. Ale możesz usiąść obok mnie — tu na ławce.

Maja. Dziękuję ci. Wolę leżeć. I stąd słyszę dokładnie spogląda na niego pytającym wzrokiem. O czym chciałeś zemną pomówić?

Prof. Rubek. zaczyna zwolna. Jak myślisz? Dlaczego zdecydowałem się na tę wycieczkę letnią?

Maja. Czyż wiem?... Mówiłeś, że ci chodzi o mnie... ale...

Prof. Rubek. Ale?...

Maja. Ale teraz mam wątpliwości... myślę..

Prof. Rubek. Co myślisz?

Maja. Myślę, że ci chodziło o tę bladą nieznajomą.

Prof. Rubek. O panią Satow?

Maja. Tak, o nią. Wszędzie, jak cień chodzi za nami. Wczoraj wieczór już się tu zjawiła.

Prof. Rubek. Co ci też na myśl przychodzi?...

Maja. Przecież tak dobrze się znacie!... Znałeś ją jeszcze wcześniej, aniżeli mnie!

Prof. Rubek. Ja już ją zapomniałem... nim ciebie poznałem.

Maja siada wyprostowana. Czy tak łatwo zapominasz, Rubek?

Prof. Rubek krótko. Bardzo łatwo. Opryskliwie. Jeśli chcę zapomnieć!

Maja. Nawet kobietę, która ci służyła za model?

Prof. Rubek z niechęcią. Jeśli jej już nie potrzebuję...

Maja. Nawet wtedy, jeśli przed tobą stała nago?

Prof. Rubek. Zapewne. U nas artystów nie to nie znaczy zmienia ton mowy. Ale powiedz mi, w jaki sposób mógłbym się być domyśleć, że ona tutaj?...

Maja. Nic łatwiejszego. Mogłeś być przeczytać jej nazwisko w liście kąpielowej... albo w której gazecie...

Prof. Rubek. Przecież nie znałem jej nazwiska... Jak żyję, nie znałem nigdy pana Satowa...

Maja znudzona. No, toś chciał wyjechać... z jakiegokolwiek innego ważnego powodu.

Prof. Rubek z powagą. Rzeczywiście. Stało się to z innego powodu, z zupełnie innego powodu... I o tem właśnie chciałem z tobą pomówić.

Maja tłumi wybuch śmiechu. Na Boga, jak uroczystą masz minę!

Prof. Rubek patrzy na nią podejrzliwie, jak gdyby ją chciał przeniknąć. Być może... Może uroczystsza nawet, aniżeli potrzeba...

Maja. Aniżeli potrzeba?

Prof. Rubek. A potrzeba nam obojgu...

Maja. Naprawdę, zaciekawiasz mnie.

Prof. Rubek. To cię tylko zaciekawia... a nie niepokoi?

Maja potrząsa głową. Bynajmniej.

Prof. Rubek. No, to słuchaj! — Mówiłaś mi w kąpielach, że ci się wydają zdenerwowany...

Maja. Bo tak było.

Prof. Rubek. Jak myślisz, co może być tego powodem?

Maja. Czyż wiem?... sztyka. Może ci się to wieczne pożycie zemną sprzykrzyło?

Prof. Rubek. Wieczne?... Może wieczyste?

Maja. No, to niech będzie — ciągle pożycie. My, ludzie bezdzietni już od czterech lub pięciu lat żyjemy z sobą — ani na godzinę się nie rozłączając.

Prof. Rubek z zajęciem. No, i...

Maja z odcieniem przynębienia. Nie jesteś stworzony do towarzystwa... najchętniej kroczyś własnymi drogami, myślisz tylko o sobie i swoich interesach... A ja — przyznaję to otwarcie — nie umiem z tobą o twoich sprawach mówić... o rzeczach sztuki i tak dalej. Czyni pogardliwy ruch ręki. A rzeczy te mnie wcale nie obchodzą.

Prof. Rubek. Dlatego też siedzimy najczęściej przy kominku i gawędzimy o twoich sprawach.

Maja. Boże mój kochany, o jakichże to sprawach?

Prof. Rubek. Chociażby to nawet małe rzeczy były... w każdym razie czas nam w ten sposób schodzi — a to najważniejsza.

Maja. Masz słusność... czas uchodzi... może

jest już nawet u schyłku... i to cię widocznie niepokoi...

Prof. Rubek potakuje gwałtownie. Tak, tak! wije się na ławce. To nędzne życie już mi się sprzykrzyło... nie wytrzymam dłużej!

Maja wstaje i patrzy nań przez chwilę. Powiedz otwarcie, chciałbyś mnie się pozbyć?

Prof. Rubek. Pozbyć? Co mówisz!

Maja. Jeśli chcesz odzyskać swobodę, to powiedz mi otwarcie! A zaraz cię opuszczę...

Prof. Rubek uśmiecha się prawie niedostrzegalnie. Cóż znowu! To brzmi, jak groźba!

Maja. O groźbie niema mowy... przynajmniej, o ile się do ciebie odnosi.

Prof. Rubek podnosi się. Może być po chwili. My obydwójce tak nadal ze sobą żyć nie możemy...

Maja. A widzisz!

Prof. Rubek. Tylko bez konkluzji! z naciskiem. Jeśli nie możemy sami ze sobą żyć... to z tego nie wynika, abyśmy się musieli całkiem rozłączać.

Maja uśmiecha się pogardliwie. Tylko nieco?

Prof. Rubek. I to nawet nie.

Maja. A więc powiedzże raz, co masz na myśli!

Prof. Rubek głosem nieco niepewnym. Brak mi osoby, któraby mnie rozumiała.

Maja przerywa mu. A ja?

Prof. Rubek. Proszę, nie rozumiej mnie błędnie! Jest dla mnie potrzebą duchową żyć z taką osobą,

któraby istotę moją niejako wypełniała... uzupełniała... miała te same poglądy, cele, ideały, co ja.

Maja powoli. Ja oczywiście takich przymiotów przepisać sobie nie mogę...

Prof. Rubek. Zbyt gniotący byłby to ciężar dla ciebie!

Maja gwałtownie. Ja też nie mam wcale do tego ochoty!

Prof. Rubek. Wiem o tem aż nadto dobrze... Ja też nie myślałem wcale o takiej pomocy, gdy cię powiodł do ołtarza...

Maja mierzy go wzrokiem. Po wyrazie twych oczu poznaję, że myślisz teraz o innej.

Prof. Rubek z uśmiechem. Nie może być! To nawet myśli umiesz odgadywać? Z tej strony cię dotąd nie znałem... Więc zauważyłaś?...

Maja. Nie inaczej! Znam cię dokładnie... gruntownie.

Prof. Rubek. A więc w takim razie wiesz również, o kim myślę?

Maja. Naturalnie.

Prof. Rubek. A więc... powiedz!

Maja. Myślisz... o tym modelu, z którego nigdyś korzystałaś... Traci nagle wątek. Czy wiesz, że ludzie w hotelu uważają ją za waryatkę?

Prof. Rubek. Tak?... Ciekawy jestem, co ludzie z hotelu myślą o tobie i pogromcy niedźwiedzi?

Maja. Cóż jedno ma do drugiego? Ciągnie dalej

gdzie urwała. Nie prawda? Myślałeś o bladej nieznajomej?

Prof. Rubek tożem stanowczym. Tak, o niej tylko, o żadnej innej... Gdy już jej nie potrzebowałem... a ona mnie sama opuściła i zniknęła bez śladu...

Maja. Wziąłeś mnie — ot tak — dla zapelnienia próżni? Nieprawda?

Prof. Rubek bezwzględnie. Prawdę powiedziawszy, tak mniej więcej było, moja mała Majo!... Rok a może i półtora roku chodziłem, pogrążony w zadumie... wtedy to wykończyłem dzieło. „Dzień zmartwychwstania“ poszedł w świat i przyniósł mi sławę... i inne uboczne świetności. Z ciepłem. Ale już dzieła mego nie kochałem. Przed wieńcami i kadzidłem ludzi byłbym najchętniej uciekł na kraj świata... tak mi te hołdy obrzydły spogląda na nią... Skoro tak umiesz odgadywać myśli, powiedz, co mi wtedy do głowy przyszło?

Maja pogardliwie. Postanowiłeś robić popiersia mężczyzn i kobiet.

Prof. Rubek potakuje. Rzeczywiście, na zamówienie... z łbem zwierzęcia pod maską... jako bezpłatny dodatek... Wszak mnie rozumiesz? z uśmiechem. Ale właściwie nie o to mi chodziło.

Maja. A o cóż?

Prof. Rubek poważnie. Ten cały zawód artysty i ta cała moja artystyczna działalność... i wszystko, co z nią ma związek... obrzydło mi... czułem w sobie próżnię, czezość, nicość...

Maja. A czego natomiast pragnąłeś?

Prof. Rubek. Życia, Majo!

Maja. Życia?

Prof. Rubek. Zapewne. Bo czyż nie przyjemniej wieść życie wśród słońca i wygod — niż męczyć się w wilgotnej norze nad bryłami gliny i kawałami kamienia?

Maja z nieznacznem westchnieniem. Bardzo słusznie.

Prof. Rubek. Przytem wzbogaciłem się — uzyskałem niezależność materyalną — mogłem opływać w dostatkach i spijać słodczyce z kielicha życia. Zbudowałem willę w malowniczej okolicy nad jeziorem Taunickiem, a oprócz tego pałac w stolicy. O innych rzeczach nawet nie wspominać.

Maja naśladuje intonację głosu męża. A wreszcie mogłeś sobie na to pozwolić, aby sobie mnie sprawić... I przypuściłeś mnie do wspólności swych skarbów i dostatków...

Prof. Rubek zartobliwie. Powiedz, czyż nie chciałem cię zaprowadzić na wysoką górę i pokazać wszystkie piękności świata?

Maja łagodnie. Może być, żeś mnie wziął z sobą na bardzo wysoką górę... ale wszystkich piękności świata mi nie pokazałeś.

Prof. Rubek śmieje się z goryczą. Niezadowolone przez ciebie przemawia. Niezadowolenie! gwałtownie. Ale zapomniataś o rzeczy najsmutniejszej! Domyślasz się?

Maja z cichym uporem. To, żeś mnie wziął z sobą na całe życie! Czy nie tak?

Prof. Rubek. Ja nigdy nie byłbym się tak bezwzględnie wyraził!

Maja. Ale myśl byłaby ta sama.

Prof. Rubek. Nie masz pojęcia, Majo, jak wygląda w duszy artysty!

Maja potrząsa głową z uśmiechem. Skądbyś mogła o tem wiedzieć, skoro nawet nie wiem, jak u mnie w duszy wygląda!

Prof. Rubek ciągnie dalej. Ja tak prędko żyję, Majo! Jestto zresztą właściwość wszystkich artystów... Ja co do mojej osoby — przeżyłem w tych kilku latach naszego pożycia, całe długie życie... Bo ludzie, jak ja, nie znajdują szczęścia w próżniaczem używaniu... przekonałem się o tem na własnej skórze. Tak prostem nie jest dla mnie życie... Ja muszę pracować bez wytchnienia — tworzyć dzieło po dziele — aż do ostatniej godziny! Zapanowuje nad sobą. Dlatego mi nie wystarczy, Majo... a przynajmniej nie wystarczasz sama jedna.

Maja ze spokojem. Innemi słowy... chciałeś powiedzieć, żeś mi się sprzykrzyła?

Prof. Rubek wybucha. Rzeczywiście! Sprzykrzyło mi się pożycie z tobą... mam tego aż nadto... Oto masz, coś chciała! Zapanowuje nad sobą. Jest to przykra, gorzka prawda. Sam to czuję. Tyś temu nie winna — uznaję to chętnie... We mnie — we

mnie jedynie zaszła zmiana! na pół do siebie. Zbudziłem się do nowego życia...

Maja zatakuje bezwiednie ręce. Ale dlaczegoż każde z nas nie ma pójść oddzielnie swoją drogą?

Prof. Rubek spogląda na nią ze zdumieniem. Zgodziłabyś się?...

Maja wzrusza ramionami. Jeśli być musi...

Prof. Rubek z ożywieniem. Nie musi być... Jest sposób...

Maja podnosi palec. Masz znowu na myśli błądą nieznajomą!...

Prof. Rubek. Nie przeczę... ciągle myślę o niej! Od chwili, kiedy ją znów ujrzałem postępuje o krok naprzód. Chcę się zwierzyć przed tobą, Majo!

Maja. Słucham.

Prof. Rubek uderza się w piersi. Tu, wewnątrz mam małą, zamkniętą skrytkę... W skrytce tej spoczywają wszystkie moje marzenia artysty... Odkąd zniknęła bez śladu, wieko zapadło... skrytka się zamknęła... A ona miała klucz... i wzięła go z sobą. Tyś nie miała klucza, moja mała Majo! To powodem, że tu wewnątrz leżą skarby bez użytku!... A czas płynie, lata uchodzą... a ja nie mogę dobrać się do skarbów!...

Maja tłumi śmiech szyderycy. To niech ci ona skrytkę otworzy...

Prof. Rubek nie rozumie jej. Jak to?

Maja. Wszak ona tutaj! Zapewne nawet z powodu tej skrytki przybyła...

Prof. Rubek. Nigdy jej o tem nie wspomniał!

Maja patrzy nań niewinnym wzrokiem. Ależ, mój kochany, to taka prosta rzecz! Niema o czem tyle mówić.

Prof. Rubek. Prosta, powiadasz?

Maja. Bez wątplenia. Połącz się tylko bez skrupułów z tą, której potrzebujesz... O mnie się nie troszcz! Już ja nie zginę...

Prof. Rubek. Cóż zamysłasz?

Maja swobodnie — wymijająco. Mogę zamieszkać w willi naszej, o ile będzie potrzeba. Ale bez tego się obejdzie... Myślę, że w wielkim domu naszym w mieście będzie — przy dobrej woli — dość miejsca dla trzech osób.

Prof. Rubek niepewnym głosem. Nie wiem, czyby to długo potrwać mogło...

Maja swobodnie. Jeśli się nieda, to nie! Pocóż już dziś głowę sobie nad tem łamać!

Prof. Rubek. A jeśli się nie da, Majo?... Cóż natenczas?

Maja ze spokojem. No, to się rozłączymy! Każde pójdzie swoją drogą. Znajdę jeszcze dla siebie kąć na świecie! Będę wolną, swobodną, niezawisłą!... To fraszka, panie profesorze!... wskazuje angle na prawo. Patrz, otóż i ona!

Prof. Rubek odwraca głowę. Gdzie?

Maja. Tam! Kroczy, jak posąg z marmuru! Idzie ku nam.

Prof. Rubek wyteżę wzrok, przysłaniając oczy ręką. Powiedz, nie jest ona uosobieniem zmartwychwstania? Do siebie. I nią mogłem pogardzić... zapoznać taką kobiecość.... Głupiec ze mnie skończony!

Maja. Co chcesz powiedzieć?

Prof. Rubek wymijająco. Nic. Ty i takbyś tego nie zrozumiała!

Irena nadchodzi z prawej strony, idąc powolnym krokiem. Gromadka dzieci już ją zoczyła... biegną naprzeciw niej i otaczają ją dokoła. Jedne z nich śmiało i poufałe — inne oniesmielone trzymają się zdala. Rozmawia z nimi cichym głosem i wskazuje ręką, żeby się oddaliły w stronę sanatorium — że chce nieco odpocząć u brzegu strumienia. Dzieci odbiegają na lewo wzdłuż spadzistego brzegu. *Irena* zbliża się ku skalistej ścianie i wyciąga ramiona tak, iż woda pluszcze jej poprzez ręce).

Maja przytkumionym głosem. Idź do niej, *Rubek*, i pomów z nią w cztery oczy!

Prof. Rubek. A cóż ty będziesz przez ten czas robiła?

Maja spogląda nań znacząco. Od dziś dnia pójdę własną drogą.

Schodzi z pagórka i przeskakuje strumień przy pomocy kija. Doszedłszy do *Ireny*, zatrzymuje się.

Maja. *Rubek* czeka na panią.

Irena. Czego chce?

Maja. Chciałby, żeby mu pani otworzyła skrytkę, której zamek się zatrzaśł.

Irena. Czy jest to w mej mocy?

Maja. Tak przynajmniej on twierdzi. Pani ma być jedyną osobą na świecie, która to potrafi.

Irena. No, to spróbuję..

Maja. Proszę, niech pani to uczyni!

Schodzi ze wzgórze w kierunku sanatorium. — Po chwili zbliża się *Rubek* ku *Irenie* — strumień ich rozdziela.

Irena po krótkiej pauzie. Ta druga mówiła, że czekasz na mnie.

Prof. Rubek. Od lat całych czekam już na ciebie, *Ireno*... sam o tem nie wiedząc.

Irena. Nie mogłam wrócić do ciebie... Leżałam bezsilna, pogrążona w śnie długim, ciężkim, głębokim...

Prof. Rubek. Ale teraz zbudziłaś się?

Irena potrząsa głową. Ten ciężki, głęboki sen mam jeszcze na oczach.

Prof. Rubek. Zobaczysz, *Ireno*, po ciemnej nocy zaświta jeszcze dla nas zaranie, a potem jasny dzień.

Irena. Nie mam tej nadziei.

Prof. Rubek stanowczo. Ja w to wierzę niezłomnie! Od chwili, kiedy cię odnalazł!

Irena. Obudzoną ze snu wiecznego...

Prof. Rubek. I opromienioną aureolą wyższości,

Irena. Obudzoną tylko..... nie opromienioną. *Arnoldzie!*

Prof. Rubek stara się po kamykach przejść przez strumień ku *Irenie*. Gdzieś spędziła cały dzień, *Ireno?*

Irena. Błądziłam po błoniach śmierci...

Prof. Rubek. Jak widzę, przyjaciółka twoja dziś ci nie towarzyszy?

Irena z uśmiechem. Mimo to nie spuszcza mnie z oka.

Prof. Rubek. A to jakim sposobem?

Irena ogląda się trwożliwie dokoła. Ciągłe mnie ma na oku... szepcze dopóki jej nie zabiję pewnego pięknego poranku.

Prof. Rubek. Zabijesz?

Irena. Z rozkoszą. Przy pierwszej sposobności.

Prof. Rubek. A to dlaczego?

Irena. Bo jest wiedźmą. Tajemniczo Wyobraż sobie, Arnoldzie, ona się w cień mój zamieniła!

Prof. Rubek stara się ją uspokoić. Ale, cóż znowu! Każdy człowiek ma swój cień!

Irena. Ja jestem swoim własnym cieniem. Gwałtownie Nie rozumiesz mnie?

Prof. Rubek ze smutkiem. Rozumiem cię, niestety! Siada na kamieniu przy strumieniu, Irena stoi za nim, oparta o ścianę skalistą.

Irena po chwili. Dlaczego oczy odemnie odwracasz?

Prof. Rubek z cicha, potrząsając głową. Nie mogę się na ciebie patrzeć.

Prof. Rubek. Ciebie dręczy cień — mnie dotkliwy żal...

Irena z okrzykiem radości i ulgi. Nareszcie!

Prof. Rubek zrywa się. Cóż takiego?

Irena wymijająco. Cicho, cicho! oddycha głęboko, jak gdyby pozbyła się ciężaru. Nareszcie, mam teraz trochę spokoju, na chwilę się wyswobodziłam!... Teraz możemy usiąść i pogawędzić z sobą, jak za dawnych czasów, kiedy była przy życiu.

Prof. Rubek wzdycha. Gdyby to tylko było możliwym!

Irena. Siadaj na dawnym miejscu, ja usiądę przy tobie.

On siada znowu na kamieniu, ona na drugim w pobliżu.

Irena po krótkim milczeniu. A więc nareszcie wróciłam do ciebie z dalekich krajów, Arnoldzie.

Prof. Rubek. Tak... z podróży nieskończenie długiej.

Irena. Do mego pana i władcy...

Prof. Rubek. Do domu... gdzie się czujemy, jak w domu, Ireno.

Irena. Czekasz na mnie z dnia na dzień?

Prof. Rubek. Czyż mogłem się spodziewać?

Irena rzuca wzrok z ukosa. Prawda... nie wiedziałeś, czy żyję...

Prof. Rubek. Powiedz otwarcie! Może dla innego odeszłaś odemnie?

Irena. Czyż ty sam nie mogłeś być tego powodem?

Prof. Rubek patrzy na nią niepewnym wzrokiem. Nie rozumiem cię!

Irena. Służyłam ci wiernie, ciałem i duszą, dopóki nie był posąg gotowy — nasze dziecko,

jak go nazywałeś. — Posłannictwo to moje opłacałam życiem, które we mnie zgasło...

Prof. Rubek ze spuszczoną głową. A tyś mi życie moje zwichnęła.

Irena wybucha nagle. Tego właśnie chciałam! Żeby ci się nie więcej nie udało... nie więcej... skoro stworzyłeś nasze jedyne dziecko!

Prof. Rubek. Trawiła cię zazdrość?

Irena lodowato. Raczej nienawiść.

Prof. Rubek. Nienawiść? Do mnie?

Irena ze spotęgowaną gwałtownością. Tak jest, do ciebie... do artysty, który z obojętnością wziął ciało, pełne ognia i siły... młode życie dziewczyny... i zabrał jej duszę... by stworzyć dzieło sztuki!

Prof. Rubek. I to muszę od ciebie słuchać?... Czyś nie uczestniczyła w mojej pracy ze świętym zapałem?... W pracy, do której obydwójce zabieraliśmy się co rana ze szczególnem skupieniem!

Irena chłodno. Słuchaj!

Prof. Rubek. Co takiego?

Irena. Nigdy twojej sztuki nie kochałam, nim cię poznałam... a potem także nie.

Prof. Rubek. Tylko artystę?

Irena. Artysty nienawidzę!

Prof. Rubek. Także artysty we mnie?

Irena. Właśnie. Gdym stała przed tobą cała obnażona, wtedy cię z duszy nienawidziła, Arnoldzie...

Prof. Rubek gwałtownie. Nie, Ireno! To być nie może!

Irena. Nienawidziłam cię, że mogłeś pozostać niewinnym.

Prof. Rubek śmieje się. Niewinnym, powiadasz?

Irena. A przynajmniej, że umiałeś do tego stopnia zapanować nad sobą!... I żeś był artystą, tylko artystą — a nie mężczyzną! Tonem ciepłym, serdecznym. Ale posąg z wilgotnej, żywej gliny kochałam... kochałam coraz więcej, w miarę jak z surowej, bezkształtnej masy powstawał człowiek o wymownej duszy!... Bo to była nasza istota, nasza dziecko. Moje i twoje.

Prof. Rubek ze smutkiem. Dziecko nasze... w przeżośni i w rzeczywistości...

Irena. Właśnie z powodu tego dziecka przedsięwzięłam tę długą, mozolną pielgrzymkę.

Prof. Rubek z natężoną uwagą. Z powodu posągu z marmuru?

Irena. Nazywaj go, jak chcesz! Ja go nazywam naszym dzieckiem!

Prof. Rubek z niepokojem. A teraz chcesz je widzieć? Wykończonem? W „zimnym marmurze“, jak zawsze mawiałaś? gwałtownie. Czy wiesz, że stoi ono w wielkim muzeum?

Irena. Słyszałam coś o tem.

Prof. Rubek. A muzeów nigdy nie cierpiałaś! Nazywałaś je zawsze grobami...

Irena. Pójdę tam, gdzie dusza moja i dziecko

duży mojej leżą pogrzebione... To będzie miejsce mojej pielgrzymki!

Prof. Rubek z niepokojem i trwogą. Nie możesz nigdy widzieć tego posągu! Czy słyszysz, Ireno? Błagam cię!... Nigdy, nigdy!

Irena. Czy myślisz, że mogłabym jeszcze raz z tego umrzeć?

Prof. Rubek załamuje ręce. Nie wiem. Jakże mogłem przypuszczać, że tak bezgranicznie przywiążesz się do tego posągu? Skoro mnie opuściłaś, nim był gotowy?

Irena. Był już wtedy wykonczony. Dlatego mogłam spokojnie odejść... i zostawić cię samego.

Prof. Rubek oparł łokcie na kolanach i ujął głowę w dłonie. Nie był wtedy jeszcze tem, czem się stał później.

Irena wyjmuje ze sukni na piersi niedostrzegalnym, błyskawicznym ruchem cienki, ostry sztylet i szepece ochrypłym głosem. Arnoldzie, czyś wyrządził przykrość naszemu dziecku?

Prof. Rubek wymijająco. Przykrość... Nie wiem, co przez to rozumiesz?

Irena bez tchu. Powiedz mi natychmiast, coś dziecku zrobił!

Prof. Rubek. Powiem ci, jeżeli się będziesz spokojnie zachowywała.

Irena chowa sztylet. Niech i tak będzie. Będę spokojną, jak matka...

Prof. Rubek przerywa jej. I nie patrz na mnie, gdy będę opowiadał.

Irena siada na kamieniu poza jego plecyma. Siadam za tobą... A więc proszę, mów!

Prof. Rubek odstawia oczy i patrzy przed siebie. Gdy cię odnalazł, przyszło mi na myśl, jaką formę powinienem był nadać dziełu mojego życia...

Irena. Dzieło twojego życia nazwałeś „Dniem zmartwychwstania“. Ja nazywam je „naszem dzieckiem“.

Prof. Rubek. Byłem jeszcze wtedy młodym i bez doświadczenia życiowego. Zmartwychwstanie — wyobrażałem sobie — będzie przedstawione w formie najpiękniejszej i najpowabniejszej, jeśli uplastycznione zostanie w osobie młodej, dziewiczej kobiety, która czysta, jak lilia, nie dotknięta powiewem życia ziemskiego, budzi się ze snu wiecznego w blasku i jasności.

Irena szybko. I w tej formie wieczną jestem w twoim dziele?

Prof. Rubek zwleka z odpowiedzią. Właściwie, nie zupełnie w tej formie...

Irena ze wzrastającym zajęciem. Nie zupełnie? Nie tak, jak stałam przed tobą?

Prof. Rubek uchyła się od odpowiedzi. Stałem się mądrzejszym w następnych latach, Ireno. „Dzień zmartwychwstania“ stał się w mej wyobraźni czemś rozleglejszym, wszechstronniejszym... Mały, okrągły postument, na którym się twój obraz

wysmukle i samotnie wznosił, nie wystarczał, aby na nim pomieścić wszystko, co chciałem jeszcze dodać...

Irena szuka sztyletu, ale później porzuca tę myśl. Cóż chciałeś jeszcze dodać? Powiedz, Arnoldzie!

Prof. Rubek. Wszystko, co na okół na świecie widziałem.. Wszystko to posąg mój musiał w sobie mieścić. Nie mogłem inaczej, Ireno! Rozszerzyłem znacznie postument... i położyłem nań kawał sklepionej, rozpękłej ziemi... Ze wszystkich wydrzeń i wklęsłości wychylają się całe roje ludzi o u t a j o n y c h twarzach zwierzęcych — mężczyzn i kobiet — wziętych żywcem z życia.

Irena z niezwykłym zajęciem. Ale w środku tych rojów ludzi króluje młoda kobieta — w blasku i jasności? Nieprawda, Arnoldzie?

Prof. Rubek wymijająco. Nie w samym środku. Postać tę musiałem nieco w tył przesunąć... dla tem lepszego wrażenia, Ireno!... Gdyż inaczej byłyby się zbyt wyróżniała!

Irena. Ale twarz moja jaśnieje dalej w blasku natchnienia i szczęścia?

Prof. Rubek. Naturalnie, Ireno... Pod pewnym względem przynajmniej... Może nieco w słabszym nastroju.. jak tego wymagała moja nowa idea...

Irena wstaje w milczeniu. Grupa ta wyobraża życie w jego prawdziwej postaci, Arnoldzie!

Prof. Rubek. Zapewne.

Irena. W grupie tej przeznaczyłeś mi podrzę-

dną rolę... prawie mnie ukryłeś w głębi... wyjmuje sztylet.

Prof. Rubek. Nie w głębi... blisko środka...

Irena szepece ochryplym głosem. Wydałeś na siebie wyrok potępiający. Chee mu sioś zadać.

Prof. Rubek odwraca się do niej i patrzy jej w oczy. Wyrok potępiający?

Irena ukrywa szybko sztylet i mówi głucho, jakby wśród męczarni. Moja cała dusza... ty i ja... my, my, my i nasze dziecko byliśmy w tej samotnej postaci.

Prof. Rubek zdejmując kapelusz i obciera perlisty pot z czoła, mówi z ożywieniem. Posłuchaj, jak siebie samego przedstawiłem w tej grupie. Z przodu u źródła, jak tutaj, siedzi mężczyzna, obarczony winą, który nie może oderwać się od ziemi. Jest to alegoryczna postać, wyobrażająca żal po straconem życiu. Zanurza on palce w sączącej się wodzie — aby je obmyć — i cierpi i wije się na myśl, że mu się to nigdy nie uda. Nigdy się z winy nie oczyści... nigdy już żyć nie będzie i nigdy nie zmartwychwstanie. Pozostanie on na wieki w swej czeluści piekielnej...

Irena twardo i oziębło. Poeto!

Prof. Rubek. Dlaczego poeto?

Irena. Boś bez siły i woli — i zawsze uniewinniasz własne czynności i myśli. Najpierw zabitesz moją duszę — a potem samego siebie uwieczniasz w marmurze, jako osobienie żalu, pokuty i wła-

snego oskarżenia... z uśmiechem. I myślisz, że w ten sposób załatwiłeś już sprawę?

Prof. Rubek z uporem. Jestem artystą, Ireno... i nie wstydzę się mej słabości... Urodziłem się artystą i nigdy natury swej nie zmienię...

Irena patrzy nań z utajonym, złośliwym uśmiechem i mówi tonem miękkim i łagodnym. Poetą jesteś, Arnoldzie. Głaszeze go z lekka po włosach. Że też sam tego uznać nie chcesz, ty kochane, duże, starzejące się dziecko!

Prof. Rubek z niezadowoleniem. Dlaczegoż mnie tak uporczywie nazywasz poetą?

Irena spogląda nań badawczym wzrokiem. Bo w wyrazie tym leży usprawiedliwienie, mój przyjacielu. Wybaczanie... które rzuca zasłonę na twoje słabości, nagle zmienia ton mowy. Ale ja byłam wtedy człowiekiem! I ja miałam przed sobą życie... i miałam spełnić moje przeznaczenie człowiecze... Wszystkiego się zrzekałam... Wszystko porzuciłam, aby tobie służyć!... Tak, to było samobójstwo — grzech śmiertelny przeciw sobie samej! na pół szepetem. I tego grzechu śmiertelnego nigdy już nie będę mogła zmazać! Siada blisko niego przy strumieniu, obserwuje go nieznacznie i zrywa kwiaty z krzewów, jakby nieprzytomna.

Irena z pozornym spokojem. Powinłam była mieć dzieci... wiele dzieci... ale nie takie, co leżą na zimnym cmentarzu. To byłoby mojem właściwem

przeznaczeniem. Tak! Nie powinnam była nigdy służyć ci — poeto!

Prof. Rubek zatopiony w myślach. A jednak pięknie to były czasy, Ireno!... Niewymownie pięknie!...

Irena obejmuje go łagodnym spojrzeniem. A czy pamiętasz jeszcze, jakiego użyłeś wyrazu... gdyś się uporał... uporał zemną i naszym dzieckiem? Potrzęsa głową. Przypominasz sobie to małe słówko, Arnoldzie?

Prof. Rubek patrzy na nią pytającym wzrokiem. Czy rzeczywiście wypowiedziałem takie słowo, które ci do dziś dnia utkwilo w pamięci?

Irena. Tak jest. No cóż, przypominasz sobie?

Prof. Rubek potrząsa głową. Nie... doprawdy nie. Przynajmniej na razie nie!

Irena. Ująłeś obie moje ręce i uściśnąłeś je serdecznie... Ja stałam przed tobą w drżącym oczekiwaniu... a tyś się odezwał: Dziękuję ci z całego serca, Ireno. To był błogosławiony epizod w mem życiu!

Prof. Rubek z powątpiewaniem. Powiedziałem: epizod? Bo zresztą nie używam tego wyrażenia.

Irena. Powiedziałeś — epizod.

Prof. Rubek z udaną obojętnością. Zresztą może być.. był to w istocie tylko epizod.

Irena krótko. Z powodu tego wyrazu opuściłam cię.

Prof. Rubek. Wszystko bierzesz z najgorszej strony, Ireno.

Irena przesuwa ręką po czole. Może masz i słuszność. Otrząśnijmy się ze smutku i żałoby! Zrywa listki z róży górskiej i rzuca je na wodę. *Patrz, Arnoldzie!* Tam pływają nasze ptaszki!

Prof. Rubek. Co za ptaszki?

Irena. Flamingi... nie widzisz? Różowa flamingi.

Prof. Rubek. Flamingi nie pływają — brodzą tylko.

Irena. No, to w takim razie nie są to flamingi, tylko mewy.

Prof. Rubek. Mewy z czerwonymi dziobami... to być może... zrywa szerokie zielone liście i rzuca je na wodę. A ja posyłam im okręty.

Irena. Ale myśliwym nie wolno być na poludzie!

Prof. Rubek. Nie, nie wolno uśmiecha się do niej. Czy pamiętasz, jak jednego lata siedzieliśmy przed chatą wiejską nad jeziorem Taunickim?

Irena potrząsa głową potakująco. W sobotę wieczór — na zamknięcie pracy całego tygodnia...

Prof. Rubek. Nie wyjechaliśmy tedy koleją — zostaliśmy przez niedzielę na wsi...

Irena ze spojrzeniem pełnym nienawiści. Był to epizod, Arnoldzie.

Prof. Rubek uwagę jej puszcza mimo uszu. I wtedy także rzucał na wodę kwiaty — pływały ptaki... Lilie wodne...

Irena. To były białe łabędzie.

Prof. Rubek. Łabędzie — chciałem powiedzieć.

Pamiętam, jak przymocowałem do takiego łabędzia wielki, szorstki liść — był to szczaw kwaśny.

Irena. Łódź Lohengrina, z łabędziem na przodzie.

Prof. Rubek. Jak chętnie i wesoło tak się bawiłaś!

Irena. Często tak bawiliśmy się.

Prof. Rubek. Co sobotę, zdaje mi się w lecie.

Irena. Mówiłeś, że ja jestem łabędziem i ciągnę twą łódź.

Prof. Rubek. Rzeczywiście? zajęty zabawą. *Patrz,* jak mewy płyną za wodą!

Irena śmieje się. A twoje okręty osiadają na mieliźnie.

Prof. Rubek rzuca większą ilość liści na wodę. Mam jeszcze dość okrętów w zapasie patrzy na płynące liście i posuwa na prąd te, które się zatrzymały — po krótkiej pauzie. Wiesz, Ireno, chatę wiejską nad jeziorem Taunickim zakupiłem.

Irena. Kupiłeś? Naprawdę? Zawsze mawiałeś, że ją kupisz, skoro tylko będziesz miał środki po temu.

Prof. Rubek. Przyszedłem do majątku, więc kupiłem.

Irena spogląda nań z ukosa. Czy mieszkasz tam w naszym dawnym domu?

Prof. Rubek. Nie, zburzyłem go i na tem miejscu wybudowałem wielką, okazałą, wygodną willę wśród otaczającego ją parku. W willi tej

zwykle przebywamy, poprawia się, mieszkam zwykle w lecie...

Irena opanowuje się. Tak, ty i ta druga. Lato tam przepędzacie?

Prof. Rubek z uporem. Tak jest... chyba, że ja i moja żona podróżujemy — jak w tym roku.

Irena w zadumie. Piękne to były czasy nad jeziorem Tannickiem...

Prof. Rubek w zamyśleniu. Piękne... A mimo to...

Irena dokończa. A mimo to porzuciliśmy to życie...

Prof. Rubek z naciskiem. Czy żal przychodzi za późno?

Irena milczy, patrząc w dal. Patrz, Arnoldzie, słońce zachodzi poza szczytami gór. Patrz, jak promienie całą przestrzeń zabarwiają na czerwono!

Prof. Rubek patrzy we wskazanym kierunku. Już dawno nie widziałem zachodu słońca w górach!

Irena. A wschód słońca?

Prof. Rubek. Nigdy nie widziałem.

Irena uśmiecha się, jakby pogrążona we wspomnieniach. Raz jeden widziałam wschód słońca — wspaniałe zjawisko natury.

Prof. Rubek. Tak? A gdzie?

Irena. Wysoko, wysoko, na szczycie góry. Wyprowadziłeś mnie na wierzchołek stronnej góry i obiecałeś pokazać mi wszystkie piękności ziemi, jeśli... urywa.

Prof. Rubek. Jeśli?... Dokończ!

Irena. Uczyniłam, co chciałeś.. poszłam na

szczyt góry... padłam na kolana... i służyłam tobie — memu bóstwu... po chwili milczenia z cicha. Wtedy widziałam przed oczyma mej duszy — wschód słońca...

Prof. Rubek zmienia temat. Powiedz! Chciałabyś nam towarzyszyć i zamieszkać u nas w willi?

Irena spogląda nań z pogardliwym uśmiechem. Razem z tobą... i z tą drugą?

Prof. Rubek stanowczo. Razem zenną, jak w dawnych czasach mojej twórczości... Aby uśpione skarby mogły we mnie odżyć... wyjść z zamknięcia, do którego ty masz kluczyk czarodziejski.. Zgoda, Ireno?

Irena potrząsa głową. Klucza tego już nie mam, Arnoldzie.

Prof. Rubek. Masz ten klucz! Ty jedynie! błagalnym tonem Podaj mi dłoń pomocną, bym mógł na nowo rozpocząć życie!

Irena nieruchoma jak przedtem. Czcze marzenia... próżne, martwe marzenia!.. Nasze życie wspólne nie wywoła już odrodzenia!

Prof. Rubek urywa. No, to bawmy się dalej!

Irena. Bawmy się, bawmy!..

Oboje rzucają do strumienia liście i kwiaty, które odpływają z prądem wody. Ze stoku gór w głębi na lewo nadchodzi Ulfheim i Maja w stroju myśliwskim. Za nimi służący ze sforą psów, które odprowadza na prawo.

Prof. Rubek zauważa go. Patrz, Ireno! Nadchodzi właśnie mała Maja z pogromcą niedźwiedzi.

Irena. Twoja Maja!

Prof. Rubek. Albo raczej jego!

Maja zauważa obydwoje i woła. Dobranoc, Rubek!
Śnij o mnie! Wybieram się w drogę!

Prof. Rubek woła poza siebie. Dokąd to?

Maja zbliża się. Życia szukam! Pragnę odżyć!

Prof. Rubek szydęrczo. I ty także, mała Majo?

Maja. Naturalnie. Posłuchaj, ułożyłam taki wierszyk: śpiewa radośnie.

„Skończył się niewoli czas!

„Jestem wolna przecież raz!”

Tak jest, wolna, jak ptak w powietrzu... obudziłam się wreszcie do nowego życia!

Prof. Rubek. Widzę to.

Maja oddecha pełną piersią. Odżyłam! Jakże jestem lekką i szczęśliwą!

Prof. Rubek. Dobranoc, Majo!... Życzę powodzenia...

Ulfheim z niechęcią. Proszę, tylko bez życzeń! Tobi nam mogło na złe wyjść. Czy nie widzisz pan, że wybieramy się na łowy?!

Prof. Rubek. Przyniesiesz mi co z polowania, Majo?

Maja. Dostaniesz odemnie ptaka drapieżnego — do modelowania... Postrzelę go w skrzydło...

Prof. Rubek śmieje się z goryczą. Tyś zawsze lubiła skrzydła podcinać...

Maja odrzuca dumnie w tył głowę. O mnie się nie troszcz! żegna go skinieniem głowy i uśmiecha się

filuternie. Bądź zdrow!... Dobrej, spokojnej nocy letniej w górach!

Prof. Rubek wesoto. Dziękuję... A wam i waszym łowom życzę co tylko najgorszego w świecie!

Ulfheim grozi wśród śmiechu. Brawo! To było życzenie z serca płynące!

Maja śmieje się. Dzięki serdeczne!

Idą przez równinę i znikają następnie poza zaroślami w głębi na prawo.

Prof. Rubek po krótkim milczeniu. Noc letnia w górach! To byłoby życie!

Irena nagle z dzikim wyrazem oczu. Pragniesz takiej nocy letniej — zemną?

Prof. Rubek. O, tak!... Chodź do mnie!

Irena. Panie mój i władco!

Prof. Rubek. Ireno droga!

Irena uśmiecha się i szuka czegoś na piersiach — ochryptym głosem. Będzie to tylko epizod!... szybko szeptem. Cicho!... Nie oglądaj się, Arnoldzie!

Prof. Rubek również cichym głosem. Cóż to?

Irena. Twarz jakaś utkwiała wzrok we mnie...

Prof. Rubek odwraca się bezwiednie. Gdzie? wzdryga się. Ach! z poza zarośli z lewej strony wychyla się głowa dyakonisy, która patrzy przenikliwie na Irenę.

Irena wstaje i mówi głosem przytłumionym. Musimy się rozłączyć. Zostań! Nie odprowadzaj mnie! nachyla się ku niemu i szepcze. Do zobaczenia dziś w nocy w górach!

Prof. Rubek. A więc przyjdiesz, Ireno?

Irena. Z wszelką pewnością.

Prof. Rubek powtarza jak we śnie. Noc letnia w górach! Z tobą, z tobą! czy ich spotykają się. To byłoby życiem... A myśmy tak lekkomyślnie zrzekli się życia!

Irena. Rzecz nie do powetowania.. przekonujemy się dopiero wtedy, gdy... urywa.

Prof. Rubek patrzy na nią pytającym wzrokiem. Gdy?...

Irena. Gdy umarli budzimy się ze snu wiecznego...

Prof. Rubek potrząsa smutnie głową. Tak, tak!... A o czymże to przekonujemy się?

Irena. Przekonnjemy się, żeśmy nigdy nie żyli! Odchodzi w kierunku sanatorium. Dyakonisa ustępuje jej z drogi i postępuje za nią. — Rubek stoi nad strumieniem w nieruchomej postawie. — Ze skał w oddali dochodzi radosny śpiew Maji:

„Skończył się niewoli czas!
Jestem wolna przecież raz!“



AKT III.

Pasma gór, dziko poszarpane — w głębi przepaście o stromych, prawie prostopadle spadających ścianach. Na prawo wznoszą się szczyty gór, pokryte koroną śniegów — nikną one na kraju widnokregu wśród przelatujących cłoków. Na lewo u stoku pochyłej murawy stoi stara, na pół zapadła chata. Wczesny ranek — świta, słońce jeszcze nie weszło.

Maja schodzi z murawy zarumieniona i zgrzana. *Ulfheim* idzie za nią, na pół się gniewając, na pół śmiejąc — trzyma ją za ramię.

Maja stara się uwolnić. Proszę, puść mnie pan! Cóż to znowu!

Ulfheim. No, no! Któż widział, tak się sierdzić! Jeszcze dobrze, że pani nie gryzie!... Trzepoczcie się pani, jak kuna!

Maja uderza go po ręce. Puść mnie pan! Daj mi pan święty pokój!

Ulfheim. Ha, ha, ha!

Maja. Jeżeli mnie pan w tej chwili nie puścisz, to ani kroku dalej z panem nie pójdę — ani kroku, powiadam.

Ulfheim. A cóż pani sama pocznie w tej bezludnej okolicy?

Maja. Zbiegnę w ostateczności po tej skalistej ścianie.

Ulfheim. Szuka pani pewnej śmierci — na dnie przepaści? Byłby smaczny żer dla moich psów! puszcza ją. Proszę, niech pani spróbuje — ale zmów pani pierwej paciorek, bo to ostatnia godzina... Na dół prowadzi wązka ścieżka, prawie nie do przebycia.

Maja otrzępuje suknię ręką, spoglądając nań gniewnie. Żałuję, że z takim człowiekiem wybrałam się na polowanie!

Ulfheim. Powiedz pani raczej: sport uprawiam...

Maja. Sport?

Ulfheim. Tak, sport... To najmilsza rozrywka!

Maja odrzuca dumnie w tył głowę. Śmiałe zdanie!... po krótkiej chwili z badawczym spojrzeniem. A dlaczegoś pan puścił psy ze smycz?

Ulfheim z filaterym uśmiechem. Aby pani zrobić przyjemność myśliwską...

Maja. To nie prawda! Przyznaj się pan, dlaczego psy wypuszczone?

Ulfheim uśmiecha się ciągle. Jak pani myślisz? Dlaczego?

Maja. Boś się pan. chciał pozbyć Larsa... Musi on pobiedz za psami i schwytać je... a tymczasem... No, no! Z pana ziółko!

Ulfheim. A tymczasem?

Maja urywa. Nic.

Ulfheim tonem poufатыm. Że ich Lars tak prędko nie znajdzie, to więcej, jak pewna. Nie wróci z nimi przed czasem!

Maja z gniewnem spojrzeniem. Nie wątpię o tem. *Ulfheim* wyciąga rękę, aby ją pochwycić za ramię. Bo widzi pani, Lars... zna moje nawyczki myśliwskie.

Maja usuwa się i mierzy go wzrokiem. Wiesz pan, jak pan wyglądasz?

Ulfheim. Jestem podobny do siebie.

Maja. Co do joty... Wyglądasz pan, jak Faun!

Ulfheim. Faun?

Maja. Tak jest, jak Faun.

Ulfheim. Faun — to zdaje mi się dyabeł leśny, czy coś w tym rodzaju?

Maja. Tak — zupełnie, jak pan. Z kozią bródką i na koźlich nogach! A rogi ma Faun także!

Ulfheim. Hm, hm! I on także?

Maja. Dwoje niezgrabnych rogów, jak pan.

Ulfheim. To pani widzisz rożki, które ja mam?

Maja. Tak mi się zdaje.

Ulfheim wyjmuje smycz. No, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko panią związać.

Maja. Czyś pan zwaryował? Mnie pan chcesz związać?

Ulfheim. Jeśli już mam być dyablem, to będę nim w całej pełni. Hm, hm! To pani widzisz moje rogi?

Maja tonem uspakajającym. Tylko bądź pan grzecznym, uprzejmym! urywa. Ale gdzie właściwie jest pański zamek myśliwski, o którym mi pan tyle opowiadałeś? Zapewne gdzieś w pobliżu?

Ulfheim wskazuje chatę. Masz go pani przed sobą.

Maja spogląda nań. To ta stara pochyła lepianka?

Ulfheim śmiecha się. Już niejedną królownę mieściła w swych murach.

Maja. Czy tam, jak pan mówisz, odwiedzał ten ohydny człowiek królownę w postaci niedźwiedzia?

Ulfheim. Tak jest — tam z zapraszającym ruchem ręki. Może pani pozwoliś do środka?

Maja. Brr! Dziękuję! Niech mnie Bóg broni! Brr!

Ulfheim. Taką noc letnią może tam taka jak my parka zupełnie wygodnie przespać. Nawet całe lato — od biedy.

Maja. Dziękuję za zaszczyt... Do tego trzeba mieć gust szczególny! niecierpliwie. Ale teraz mam już dosyć pańskiego towarzystwa i polowania. Wrócę do hotelu, nim ludzie wstaną.

Ulfheim. A jakże pani zamysłasz dostać się do hotelu?

Maja. To już nie pańska rzecz. Przecież musi istnieć jakaś droga!

Ulfheim wskazuje przepaść. Naturalnie... jest droga po tej ścianie...

Maja. Przy dobrej woli będzie można zejść...

Ulfheim. Proszę, niech pani spróbuje...

Maja z niepokojem. Nie będzie można?

Ulfheim. Niema mowy... Jeśli ja pani nie pomogę...

Maja niecierpliwie. No, to pomóż mi pan, od czegoś pan zresztą?

Ulfheim. Czy mam panią wziąć na barki?

Maja. Niedorzeczność!

Ulfheim. Albo na ręce?

Maja. Tylko proszę, bez głupich żartów!

Ulfheim z utajoną złością. Razu pewnego podjąłem z ulicy młodą dziewczynę, wziąłem ją na ręce i tak ją nosiłem. Tak chciałem ją przez całe życie nosić, aby noga jej nigdy o kamień się nie potknęła... bo nawiasem powiedziaławszy — trzewiki miała bardzo znoszone.

Maja. Mimo to podniosłeś ją pan i nosiłeś na rękach?

Ulfheim. Wyciągnąłem ją z rynsztoku i niosłem ją ponad ziemią — ostrożnie... ze złośliwym uśmiechem. I wiesz pani, jaką miałem nagrodę?

Maja. No?

Ulfheim spogląda na nią z znaczącym uśmiechem. Dostałem rogi. Te właśnie rogi, które pani u mnie widzi. Nie prawda, ładna historyjka, pani pogromczyni niedźwiedzi?

Maja. Bardzo ładna. Ale ja panu opowiem jeszcze ładniejszą.

Ulfheim. Słucham z ciekawością.

Maja. Była raz głupia dziewczeczka, która żyła u ojca i matki... w nader skromnych warunkach. Wtem zjawił się bogaty pan wśród tych biednych stosunków i wziął dziewczeczkę na ramiona i zawiózł ją daleko...

Ulfheim. A ona chętnie się zgodziła?

Maja. Tak... bo była głupia.

Ulfheim. A on był — jak to mówią — pięknym mężczyzną?

Maja. Bynajmniej... ale umiał wmówić w nią, że zaprowadzi ją na wysoką górę, skąd rozciąga się jasność i blask promienny.

Ulfheim. Widocznie był turystą?

Maja. Coś w tym rodzaju.

Ulfheim. No i wziął z sobą dziewczeczkę na górę?

Maja odrzuca dumnie w tył głowę. Właśnie, że nie! Przeciwnie... wsadził ją do zimnej, ciasnej klatki, dokąd ani słońce, ani świeże powietrze dostać się nie mogło — przynajmniej według jej zdania — a natomiast wszystko było połączane i pełno obrazów na ścianach...

Ulfheim. Niech mnie!... Ale to było w sam raz dla niej...

Maja. Prawda, ładna historyjka?

Ulfheim spogląda na nią przez chwilę. Posłuchaj pani, towarzyszeko łowów...

Maja. Cóż znowu?

Ulfheim. Mam dobrą myśl. A gdybyśmy tak obie nasze marne egzystencje połączyli z sobą?

Maja. Cóż to? Chcesz pan dziedzic być łataczem?

Ulfheim. Dlaczego nie? Moglibyśmy szczerki ubrania pozszywać, tak, że możeby się utworzyło jakie takie życie?

Maja. A gdyby łąty były zupełnie potargane, to co wtedy?

Ulfheim czyni energiczny ruch ręką. No, to pozostaniemy nadal wolni i swobodni!

Maja śmieje się. Pan — z pańskimi kozłami nogami?

Ulfheim. A pani — ale dajmy temu pokój!

Maja. No, to chodźmy!

Ulfheim. Dokąd?

Maja. Dokądby? Do hotelu.

Ulfheim. A potem?

Maja. Potem pożegnam pana i podziękuję mu grzecznie za towarzystwo.

Ulfheim. Jak pani myślisz? Czy my obydwójce moglibyśmy się rozłączyć?

Maja. Dotąd — o ile mi się zdaje — nie jestem z panem związana...

Ulfheim. Mam zamek dla pani.

Maja wskazuje chatę. Może ten tutaj?

Ulfheim. Nie, o wiele ładniejszy.

Maja. A oprócz tego wszystkie piękności świata?

Ulfheim. Zamek, powiadam.

Maja. Dziękuję, już mam dość tych zamków.

Ulfheim. Z olbrzymimi obszarami, lasami, błotniami...

Maja. A są w zamku dzieła sztuki?

Ulfheim. Niema... ale za to...

Maja z ulgą. Chwała Bogu!

Ulfheim. A więc pójdiesz pani zemną?

Maja. Będzie mnie strzegł oswojony ptak drapieżny.

Ulfeim dziko. Postrzelę go w skrzydło!

Maja patrzy na niego przez chwilę, potem mówi sta- nowczym tonem. No, to niech mnie pan przeniesie przez głębię...

Ulfeim otacza ramieniem jej kibić. Już czas naj- wyższy! Obtoki coraz gęściejsze!

Maja. Droga na dół jest zapewne niebezpieczną?

Ulfeim. Mgła w górach jest jeszcze niebez- pieczniejsza! *Maja* uwalnia się z jego objęcia, ztłiza się na kraj przełęci, spogląda na dół i cesa się sztytko.

Ulfeim idzie naprzeciw niej, śmiejąc się. Dostałaś pani zawrotu głowy?

Maja ze znużeniem. Rzeczywiście. Ale popatrz pan sam, ktoś idzie!

Ulfeim zbliża się do przełęci i wychyla się naprzód. To ptak drapieżny i jego nieznamoma.

Maja. Czy moglibyśmy przejść obok nich nie- spostrzeżeni?

Ulfeim. To niemożliwe. Ścieżka za wązka... A innej drogi niema.

Maja z odwagą. No, to się tu zatrzymamy, staniemy im oko w oko!

Prof. Rubek i *Irena* zjawiają się na kraju przełęci. On z pędem na ramionach, ona w czapeczce z puchu łabędziego i w zarzutce futrzanej, okrywającej jej białą suknię.

Prof. Rubek ukazuje się do połowy z poza krawędzi skalistej. Cóż to, *Majo*? Jeszcze się raz spotykamy?

Maja z udaną pewnością siebie. Jak widzisz. Chodź bliżej!

Prof. Rubek wychodzi na wierzch i podaje rękę *Irenie*, która za nim postępuje.

Prof. Rubek ozięble do *Maji*. Toś ty także całą noc była w górach, jak i my?

Maja. Na łowach byłam. Wszak mi pozwoliłeś...

Ulfeim wakazuje przepaść. Czy tą ścieżką szedłeś pad?...

Prof. Rubek. Tak jest. Sam pan przecie widziałeś.

Ulfeim. I pańska towarzyszka także?

Prof. Rubek. Ma się rozumieć ze wzrokiem na *Maję* zwróconym. Ja i moja towarzyszka już nigdy się nie rozłączymy.

Ulfeim. Czy wiadomo panu, że szedłeś pan tą ścieżką z narażeniem własnego życia?

Prof. Rubek. Szliśmy mimo to — z początku ścieżka nie była stroma.

Ulfeim. Rzeczywiście, wszystko z początku łatwo idzie. Wreszcie przychodzi się do miejsca, skąd ani rusz — ani naprzód, ani wstecz!

Prof. Rubek patrzy nań z uśmiechem. Światłe nauki dajesz mi pan?

Ulfeim. Niech mnie Bóg broni! wskazuje na niebo. Patrz pan, co za chmury, pędzone siłą wichru! Będzie straszliwa burza!

Prof. Rubek wstuchuje się. Szum: ten wydaje mi się, jak przegrywka, poprzedzająca dzień zmar- twychwstania.

Ulfeim. To huragan, szalejący na szczytach. Patrz pan, chmury otwiane zaciemniają niebo i otaczają nas zewsząd, jak całun śmiertelny.

Irena wzdryga się. Znam dobrze ten całań.

Maja do *Ulfheima*. Chodźmy na dół!

Ulfheim do *Rubeka*. Mogę tylko jednej osobie pomódz. Pozostań pan ze swą towarzyszką w chacie pobliskiej, a ja później posłę po państwo...

Irena. Nie, nie chcę!

Ulfheim opryskliwie. Ludzie moi, których tu wysłę, użyją w danym razie przemocy, gdyż rozchodzi się tu o śmierć lub życie. Tu niema żartów. Do *Maji*. Niech pani zaufa swemu towarzyszowi łowów! Chodźmy!

Maja przytula się do niego. Co to będzie za szczęście, gdy wyjdę cała z tej straszliwej sytuacji!

Ulfheim poczyna schodzić i woła do pozostałych. Proszę zostać w chacie; posłę tu wnet ludzi z linami. *Ulfheim* trzymając *Maję* w swych ramionach, schodzi szybko, ale ostrożnie ścieżką wzdłuż przepaści.

Irena spogląda przez chwilę na *Rubeka* z przerażeniem. Słyszałeś, *Arnoldzie*? Przyjdą po mnie ludzie z linami i zabiorą mnie z sobą!

Prof. Rubek. Uspokój się, *Ireno*!

Irena ze wzrastającym przerażeniem. I ona, czarna, także przyjdzie!... Przyjdzie i zabierze mnie! Wdzieje mi kaftan, *Arnoldzie*! Ma go w swym kufirze — sama widziałam!

Prof. Rubek. Nikt cię dotknąć nie śmie!

Irena z błędnym uśmiechem. Tak, tak... i ja mam środek...

Prof. Rubek. Jaki środek?

Irena wyjmuje satylet. Patrz!

Prof. Rubek wyciąga rękę. Nóż masz przy sobie?

Irena. Zawsze, w dzień i w nocy. Także w łóżku.

Prof. Rubek. Daj mi ten nóż, *Ireno*!

Irena chowa go. Nie dam ci. Sama go potrzebuję.

Prof. Rubek. A to na co?

Irena spogląda nań przenikliwie. Był przeznaczony dla ciebie, *Arnoldzie*!

Prof. Rubek. Dla mnie?

Irena. Jednego wieczora, gdyśmy siedzieli na wsi nad jeziorem...

Prof. Rubek. Na wsi?

Irena. Przed naszą chatą wiejską i bawiliśmy się łabędziami i liliami wodnymi...

Prof. Rubek. No?

Irena. I gdy powiedziałeś tonem lodowatym... że ja byłam tylko epizodem w twym życiu...

Prof. Rubek. Toś ty powiedziała, *Ireno*!... A nie ja!

Irena ciągnie dalej. Wtedy chwyciłam za nóż i chciałam ci go zatopić w plecach!

Prof. Rubek puzuro. Dlaczegoś tego nie uczyniła?

Irena. Bom nabrała tej strasznej pewności, żeś już martwy — od dawna martwy!...

Prof. Rubek. Martwy?

Irena. Tak, martwy. Ty i ja... I my dwa zimne trupy siedzieliśmy nad jeziorem i bawiliśmy się z sobą

Prof. Rubek. Tego nie nazywam śmiercią. Ale ty mnie nie rozumiesz...

Irena. Powiedz, gdzie twoja namiętność... owa płomienna namiętność, która cię pożerała, gdyś bez osłony stała przed tobą... jako kobieta odrodzenia?...

Prof. Rubek. Nasza miłość nie umarła, Ireno.

Irena. Miłość ziemską — pochodząca z tego uroczonego, dziwnego, tajemniczego świata — niewątpliwie zamarała w nas obojgu...

Prof. Rubek namiętnie. Ta miłość płonie jeszcze w mnie, rozsadza mi piersi, jak wówczas.

Irena. A ja? Czy zapomniałeś, kim teraz jestem?

Prof. Rubek. Bądź kim chcesz! Dla mnie jesteś kobietą, którą kochałem w moich marzeniach.

Irena. Stałam naga przed tysiącem mężczyzn, którzy po tobie napawali się widokiem moich wdzięków!

Prof. Rubek. Któż, jeśli nie ja, popchnąłem cię na tę drogę! Zaślepiiony, wyżej stawiałem twój z martwej gliny, aniżeli szczęście życia — i szczęście miłości!

Irena spuszcza oczyma. Zapóźno! Zapóźno!

Prof. Rubek. Cokolwiek od tego czasu zaszło — wierz mi — nie na wartości w moich oczach nie straciłaś!

Irena z podniesioną głową. W moich również nie!

Prof. Rubek. A zatem! Oboje jesteście wolni!... I możemy zacząć nowe życie, Ireno!

Irena spogląda nań ze smutkiem. Popęd do życia zamarł we mnie, Arnoldzie. Teraz obudziłam się... szukam ciebie... i znajduję... ale widzę, że ty i życie jesteście trupami... Jak ja niegdyś byłam.

Prof. Rubek. Mylisz się, Ireno. Życie jest w nas i naokoło nas, tętni ono i szumi, jak dawniej.

Irena uśmiecha się i potrząsa głową. Twoja młoda, zmartwychwstała kobieta widzi całe życie na marach — przykryte kirem żałoby...

Prof. Rubek bierze ją namiętnie w swe objęcia. A więc — my istoty umarłe — wychylmy przynajmniej raz jeden kielich życia aż do dna... nim wrócimy do naszych grobów...

Irena z okrzykiem radości. Arnoldzie!

Prof. Rubek. Ale nie tutaj w półmroku!... Nie tutaj, gdzie nas otacza wilgotna, ponura atmosfera...

Irena w szale namiętności. Nie, nie!.. w świetle... wśród promiennej jasności... na wyżynach, które mi ślubowałaś!..

Prof. Rubek. Tak jest, tam w górze odbędzie się uroczystość naszych zaślubin, Ireno — ukończona moja!

Irena z dumą. Niech nas zawsze blask słońca otacza, Arnoldzie!

Prof. Rubek. I wszystkie potęgi światła! A zarazem wszystkie potęgi ciemności! Chwyta jej rękę. Czy pójdziesz zemną, ty błogosławiona moja oblubienico?

Irena jakby opromieniona aureolą natchnienia. Wszędzie i zawsze, panie mój i władco!

Prof. Rubek pociąga ją za sobą. Chodź, Ireno! Musimy się przedostać przez obłoki...

Irena. Tak, przez obłoki... przez wszystkie obłoki! A później na szczyt wieży, która jaśnieje w blasku promieni wschodzącego słońca!

Ciężkie chmury opadają coraz niżej i zaciemniają krajobraz.

Rubek i *Irena* idą na prawo równiną, zasłaną śniegiem, trzymając się za ręce i po chwili znikają wśród nisko snujących się obłoków. — Słychać szum wichru i łoskot spadających w oddali brył śniegu. — *Dyakonisa* zjawia się po lewej stronie u stoku spadzistej płaszczyzny.

Zatrzymuje się i rozgląda w milczeniu.

W oddali z doliny dochodzi radosny śpiew *Maji*:

Skończył się niewoli czas!

Jestem wolna przecie raz!

W tem nagle daje się słyszeć ogłuszający łoskot z górnych warstw płaszczyzny śnieżnej. Olbrzymia lawina stacza się z przerażającą szybkością ku dolinie. Widać niedokładnie, jak zsuwające się masy śniegu porywają z sobą *Rubeka* i *Irenę*, zakrywając ich zupełnie.

Dyakonisa wydaje okrzyk, wyciąga ramiona w kierunku spadającym i woła: *Ireno!* Stoi przez chwilę w niemem przerażeniu, potem czyni znak krzyża w powietrzu i mówi: *Pax vobiscum!*

Śpiew i radosne okrzyki *Maji* dochodzą jeszcze z oddali, gubiąc się nieznacznie w przestworzu.



0083
154.8
40
MIECZYŚLAW ROŚCISZEWSKI.

Księga obyczajów towarzyskich.

KODEKS

wypróbowanych przepisów, porad i wskazówek,
tudzież odpowiedzi praktycznych na pytania:

Jak prowadzić dom światowy? Jak żyć z ludźmi
i zjednywać sobie przyjaciół? Jak się zachować
w każdej okazyi życia rodzinnego i korporacyj-
nego? Z kim żyć? Jak się bawić? Jak mówić?
Jak się ubierać? i t. d. i t. d.

Obowiązki

ludzi różnych sfer i stanów w ich stosunkach wzajemnych.

Dzieło źródłowe, w sześciu częściach, opracowane
dla osób starszych i młodszych,
dla Pań i Panów,
bez względu na ich warunki materialne i stanowiska
społeczne.

BIBLIOTEKA Powszechna Nr. 535—540
w płóciennj oprawie